

POPAS W SŁAWOPOLU

opisał

ZYGMUNT GŁOGER

z rysunkami

A. BRZOSTKA.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI M. ARCTA.

1891.

95-
a

130-62/II

POPAS W SŁAWOPOLU

opisał

ZYGMUNT GLOGER

Z RYSUNKAMI

A. Brzostka.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI M. ARCTA.

1891.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 6 Августа 1890 года.



821.162.1-3M.2



Lipcowe słońko przypiekało w południe jak żarem, gdy wózek nasz tocząc się szybko po gościńcu, mijał lipy przydrożne, lany bujnego zboża i wznosząc z ziemi długi tuman szarego pyłu, pomykał coraz bliżej ku wiosce. A wioska ta położona w dolinie między olszowemi gajami wyglądała z dala jak sad gęsty a rozległy. I nie poznałbyś odrazu, że to wioska, gdyby je nie zdradzały wznoszące się ponad drzewami z kominów dymy i kilka dachów wychylających się z gęstwiny ogrodów.

Wózek zadudnił na nowym mostku i wtoczył się z łoskotem na szeroką i dobrze wybrukowaną ulicę wiejską, przy której z zieleni sadów patrzyły na nas wesołe, schludne domostwa. Kasztanki parszając, rade zawróciły do obszernej stajni zajezdnej, a my poszliśmy do gospody.

Ale nie myślcie moi kochani, że to było jakie niechlujne karczmiszko, cuchnące gorzałką szynkowaną przez gromadę rozczochranych żydźląt i ich ojca pejsatego Mośka, zapisującego kredą borgi pijaków, na drzwiach od karczemnego alkierza. Słyszałem już ja dawniej

o Sławopolu, że tu zadziwiający we wszystkim jest porządek, i dla tego postanowiłem przypatrzyć się bacznie każdej rzeczy, aby potem opisać to szczegółowo, na pociechę ludziom dobrej woli, którzy sami podążając do wszelkich ulepszeń, radzi słuchają i dowiadują się o tem, co gdzie dobrego dzieje się w naszej ziemi.

Owóż muszę was zapewnić, że jak dzień do nocy, tak gospoda w Sławopolu nie była podobną do zwyczajnych szynkowni, jakie po wioskach zwykle widzimy. Była to izba duża, widna, czysto wybielona. Na ścianach wisiały obrazy i drukowane ogłoszenia, na oknach w doniczkach rosły kwiaty, których zieleń pachniała w powietrzu. Pod ścianami stały wyścielane zydelki i stoliki, a na stolikach leżały jak w cukierniach miejskich: *Zorza*, *Gazeta Świąteczna*, *Gospodarz* i inne czasopisma do czytania dla gości. Gospodę utrzymywała wdowa, kobieta widać zaradna, przemyślna i porządna. Kto chciał się posilić lub rozgrzać, mógł dostać piwa grzanego i łyżkę uczciwej strawy, a w upał letni mógł się ochłodzić napojem owocowym z lodowni przyniesionym. Był tu zresztą i miód pitny i wódka nalewana na różne jagody, ale oszczędni ludzie tutejsi, mało używali tych napojów.

Miło jest wejść do miejsca schludnego, gdzie możesz po chrześcijańsku pozdrowić gospodarza, gdzie znajdziesz cichy kącik, życzliwą opiekę dla siebie i swego mienia, wypoczynek na chędogiem posłaniu i świeże gazety do przeczytania, a za to wszystko zapłacisz cenę umiarkowaną. Zachodzą tu mieszkańcy Sławopola by

przeczytać te z pomiędzy gazet, których w domu nie mają, by pogadać o jakim interesie z przejezdnym kupcem, lub naradzić się gromadnie o wspólnych sprawach wsi, lub gminy całej.

Gdy wszedłem, siedział nad gazetą jakiś staruszek w okularach przyjemnej powierzchowności, czerstwy jeszcze i ruchliwy, z którym poznałem się naprędce. Jak się z rozmowy pokazało, stary, bywalec nie lada, zwał się Piotr Ścibor, ale cała parafija знаła go pod przydomkiem Zamoreczyka, bo długie lata za morzami przebywał. Ścibor z początku nie był bardzo rozmowny, ale gdy nabrał do mnie zaufania, opowiedział mi koleje swego życia, wiele rzeczy ciekawych i wzruszających, które tu wam powtórzę:

„Przed laty trzydziestu— mówił on— miałem własny w Sławopolu półwłóczek pola i dość zasobną gospodarkę. Wtedy jakiś pokątny doradca, pejsaty kusiiciel w miasteczku, namówił mnie żebym wszystko wyprzedawszy, wywędrował do Ameryki szukać szczęścia. Nabajał mi on wiele dziwów o owej zamorskiej części świata, gdzie ludzie jakoby wszyscy wielkie mieli zarobki, gdzie taka miała panować na wszystko tanizna, iż koszulę na przykład można było jakoby kupić za złotówkę, czapkę za kilka dydków, najlepsze buty za talara, gdzie baba jak pójdzie w pole ukopać kartofli, to przyniesie pół koszyka znalezionej w ziemi rudy złota. Pożądało mi się tego szczęśliwego kraju może nie tyle dla siebie ile dla trojga małych dzieci; więc choć ludzie starzy odradzali, mówiąc, że „za morzem wół po gro-

szu,“ choć pocziwa moja Małgosia truchlała na wspomnienie morza, o którym rozповідаł organista, że jest głębszem od najgłębszej we wsi studni u Bartoszków i prosiła się żebyśmy tak wielką wodę lepiej obeszli pieszo, a w nocy szlochała na myśl, że musi taniej grzyba wyprzedać czworo białych prosiąt, które już żytem odkarmiła. Pomimo to wszystko, zamysłu swego nie porzuciłem. Proboszcz, jadąc od chorego przez Sławopole, wstąpił umyślnie pod naszą strzechę, aby odwieść mnie od powziętego zamiaru. Przemawiał serdecznemi słowy, że Bóg nie będzie takiemu człowiekowi błogosławił, co gardzi gniazdem, w którym go stworzył, że ziemia rodzinna jest dla każdego najzdrowszą do życia, a powinna być jako matka rodzona najmilszą, że dusze pocziwe czują na obczyźnie tęsknicę, która zaprawia goryczą każdą ich chwilę, każdą myśl, każdy choćby syty kęs chleba, a życie czyni ciężkiem i marnem. Ale był to już groch na ścianę. Uśmiechało mi się owo złoto, owa tanizna rzemienia i wszelkiej rzeczy. Wyprzedaliśmy za liche pieniądze grunt i dobytek, domowy statek i kożuchy, idąc do ciepłych krajów, a związawszy w szmatkę grudkę ziemi z pod progu naszej chaty, tudzież nowsze chusty, sadło, i ucałowawszy zagon rodzinny, puściliśmy się z dzieciakami w kraj świata.

Podróż nasza do Ameryki—mówił dalej stary Ści-bor—była długa i ciężka. Zaraz na pruskiej granicy przemysłnik za przeprowadzenie bez paszportu zażądał po 3 ruble od głowy i nie ustąpił grożąc wydaniem w ręce straży, aż mu zapłaciliśmy rubli piętnaście, choć tyl-

ko było nas dwoje dorosłych, a troje drobiazgu. Przechodziliśmy potem przez kraj niemiecki, który wydał się tem dziwniejszym, że ani jedna dusza ludzka nie rozumiała polskiej mowy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że takich krajów jest i więcej na bożym świecie. Przy wsianianiu na okręt zrewidowano nasze węzélki i zabrano nam sadło, a gdy Małgosia płacząc, przeklinała niemieckich urzędników, to się z niej jeszcze pantoflarze naśmiali i sfukali.

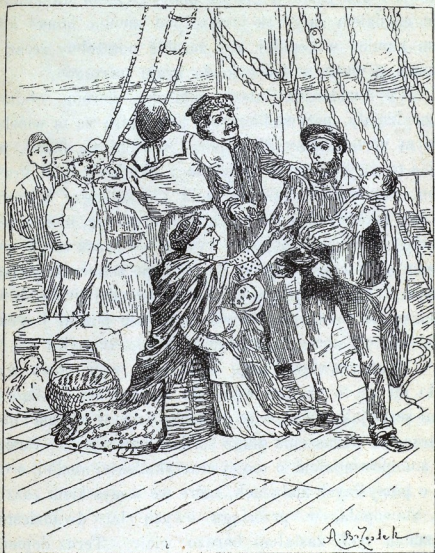
Do wnętrza okrętu napakowano nas jak śledzi do beczki, w srogą ciasnotę i zaduch. Było to jakby podziemne jakie mrowisko ludzkie. Przy ścianach w kajutach znajdowały się pulice, na których jedni kładli się jak suchary nad drugiemi, coraz wyżej. Gdyśmy wypłynęli na morze szerokie tak, że ziemia znikła nam z oczu, ludzie od ciągłego kołysania się okrętu zaczęli prawie wszyscy wymiotować. Zgiełk, jęki, klótnie i przekleństwa w nierozumiałych dla nas językach, nie dawały nam zasnąć. Biedne dzieci płakały zcicha, tuląc się do matki, więc odmawialiśmy litanję do Maryi Częstochowskiej, żeby wybawiła nas z tej czeluści piekielnej i powróciła świętą ziemię pod nasze stopy. Ale z pokładu okrętowego nie było już widać żadnego lądu, tylko pochmurne niebo i rozthukane bałwany morskie.

Po kilku dniach takiej katuszy, dzieci na okręcie zaczęły chorować na jakąś gorączkę zaraźliwą, a na-przód zaniemógł nasz najmłodszy, pięcioletni Władek jasnowłosy. Biedaczek, nieprzytomny wołał do siebie po imieniu rówieśników swoich ze Sławopola, ale wśród

huku fali morskich, ledwieśmy głos jego^ś słyszeć mogli. Szóstego dnia już nie żył. Myśleliśmy o sporządzeniu trumienki, choć jakiegokolwiek, ale wyszydzono to nasze chrześcijańskie żądanie. Stała się potem rzecz okropna o jakiej nikt nie słyszał w naszej krainie. Oto, gdyśmy płakali całując ciałko najdroższego dziecka i przysłuchiwali się, czy nie ozwie się w niem jeszcze życia iskierka, nagle stanęło nad nami dwóch zasmolonych drabów okrętowych z grubym worem od węgla. Matka odgadła czego chcieli ci bezbożnicy, ryknęła straszną boleścią i pochwyciła w objęcia kostniejące dziecko. Ja zasłoniłem ją przed nimi, ale obrona długo trwać nie mogła. Powstał tumult i natłok ciekawych. Ona wpila ręce w martwe Władka członeczki, bo to było jej dziecko, jej ciało i krew, potem upadła nieprzytomna, a poganie wtoczyli dziecinę w ten czarny wór, wynieśli na pokład i tam z kąd wyrzucano z okrętu kały plugawe i śmiecie, cisnęli, nasze kochane dziecko w topielisko na pożarcie sprośnym morskim potworom.

To mówiąc stary Piotr Ścibor, zwany Zamoreczykiem, na chwilę zamilkł, otarł łzę i zaczął opowiadać mi dalej:

Nazajutrz wyładowaliśmy w Ameryce, bez szeląga przy duszy i bez najmilszego z naszych dziełek. Czekало mnie na tej ziemi amerykańskiej dwadzieścia lat ciężkiej pracy i trzy mogiły w których pochowałem na obczyźnie, moją pocziwą Małgosię i obydwie dziewczyny, rozdzieliwszy pomiędzy nich ową grudkę ziemi, wziętą na wychodnem z pod progu chaty ojcowej.



Ja zasłoniłem ją przed nimi, ale obrona długo trwać
nie mogła.

Tęsknica za gniazdem rodzinnem odbierała mi siłę do pracy, i przygniatała człeka jakby ciężkim kamieniem; ale musiałem cały rok jeszcze pod ziemią łamać kilofem kamień w kopalni, aby zarobić potrzebny grosz na kosztą powrotu z Ameryki do kraju naszego.

Po dwudziestu latach tułaczki, sierota, obdarty i znędzniały, przywlokłem się pod figurę za tą wioską. Gdy ujrzałem dachy Sławopola, zalałem się łzami, witając to moje gniazdo rodzinne i ukląknłem pod krzyżem, aby ucałować ziemię moją i przebłagać Stwórcę za mój lekkomyślny postęp. W tem patrzę, idzie z pola stary Waligóra. Zbielał i wychudł od czasu mego wyjazdu, ale z wąsem zawsze do góry, po żołniersku zakreconym. Przystanął, głową kiwnął ze zdziwienia, brwi zmarszczył wpatrując się we mnie, ale poznał i rzeknie:—A co Piotrze, dużo niesiesz złota z Ameryki?

Wiatr rozwiewał moje łachmany, więc zrazu wydało mi się to szyderstwem, ale zamaszysty Waligóra, miał serce jako воск, więc padliśmy sobie w objęcia i oba płacząc ze wzruszenia długo ściskali nawzajem. Potem ja mu opowiadałem o mojej amerykańskiej niedoli, a on mi o pomyślnych zmianach, które we wszystkim zaszły w Sławopolu, w przeciągu owych lat dwudziestu. A zmian tych zastałem bardzo wiele. Teraz dopiero poznałem, że szczęście ludzkie jest jako ta trawa, która wszędzie rosnąć może, nie tylko w obcych krajach za morzami; że jaką dolę sam sobie kto zgotuje, taką ma, jak sobie kto pościeli tak się wyśpi, że najwięcej złego czyni ludziom ich własna ciemnota i niezaradność;

że gdy ludzie wszyscy społem podawszy sobie ręce, mądrze, zgodnie i wytrwale pracują dla polepszenia swojej doli, to i z tej strony morza mogą być szczęśliwsi, niż bywali dotąd. Oto dzisiaj na przykład w tem naszym Sławopolu, tysiące rzeczy sami zmieniliśmy na lepsze i pożywamy teraz słodkie tych rozumnych zmian owoce. A ja głupi wędrowałem na kraj świata, szukając tego, czego w Ameryce nie znalazłem, a co widzę teraz u własnego ogniska i pod rodzinną braci moich strzechą.“ Tu zamilkł Ścibor i tylko potakiwał słowom własnym, a że i ja słyszałem już wiele ciekawych rzeczy o Sławopolu,... więc chcąc bliżej przypatrzeć się tej wiosce i pocziwym jej mieszkańcom, zapytałem Ścibora, czyby nie przeszedł się ze mną wzdłuż siola. Stary chętnie przyrzekł to uczynić—więc wyszliśmy nie tracąc czasu drogą ku wiosce.

W pobliżu, za gospodą, stał dom nowy, porządnie zbudowany, pod strzechą słomianą wprowadzie, ale z ganikiem i malowanymi okiennicami. Od ulicy wiodła doń furtka, która się sama zamykała, i wrota pod daszkiem na dwóch słupkach wspartym. Przewodnik mój wskazując na to domostwo zaczął opowiadać, że tu mieszka Wojciech Bożywoj, gospodarz tegi, człek wielce pracowity i zbiegły. Ojciec Wojciecha, Panie mu odpuść, był niegdyś letkiewicz i bałamut. Roli nie patrzył, po karczmach pił i tańczył, a gdy po stryju młynarzu dostał dwa garczki srebrnych talarów, od tego czasu po

jarmarkach już tylko biegał, zgrywając się w karty i kości. Jak przyszła bieda, jał grunt zagonami zastawiać, a co gorsza, że zastawił jedyną swoją łękę. Gdy umarł, zdawało się, że wierzyciele zabiorą resztę mienia, stara Bożywojowa pójdzie z torbami, a Wojtek, który już miał lat dwadzieścia i gospodarkę podtrzymywał, w służbę do ludzi.

Stało się jednak inaczej. Bożywojowa, wielkiej pocziwości kobieta, cicha i wiecznie zapracowana, która znosząc cierpliwie krzyż Pański, ogarniała zawsze biedę jak mogła i ład domowy utrzymywała; obawiając się żeby jabłko nie padło blisko jabłoni, kładła ciągle Wojtkowi w głowę: do jakiej to zguby doprowadza ludzi szulerka i kieliszek. Codzienną modlitwę nieszczęśliwej matki Bóg wysłuchał, bo Wojtek wdał się zupełnie nie w ojca, jeno w nią. Nad lata swoje stateczny, cichy, a do każdej pracy szczerzy i wytrwały ku podziwowi ludzi, którzy porównywając go z ojcem mawiali: „chleb ma rogi, nędza nogi.“

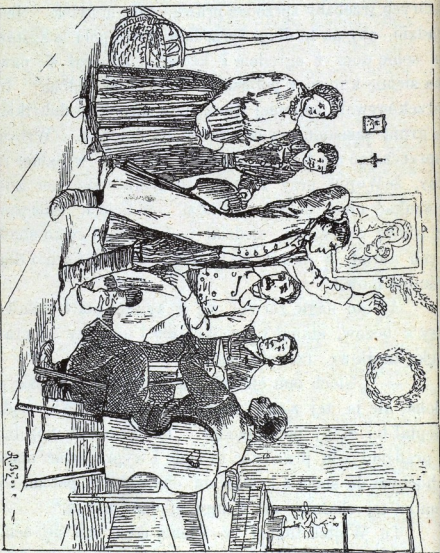
Gdy trumnę Bożywoja na wóz kładli, Bożywojowa myślała, że ją i syna zaraz lichwiarze z chałupy wygonią. Więc od żalu i lamentu zawodząc w niebogłosość, straciła głowę i rozum i długo upamiętać się nie mogła. Ale gdy gromada śpiewając pieśń żałobną, odprowadziła zwykłym zwyczajem ciało za wioskę i pożegnała na rozstaju u starego krzyża, gospodarze powrócili pod strzechę wdowy, aby jako uczciwi sąsiedzi, jak Bóg przykazał, uradzić coś nad sierotami, żeby się nie pomarnowały.

Położenie było bardzo ciężkie. Trzecia część pola zastawiona, a co najgorsza, że cała łąka w zastawie. Oprócz tego było niemało jeszcze długów, na spłacenie których trzeba by sprzedać prawie cały dobytek. Jedni radzili, aby na te długie sprzedała resztę pola, a zostawiła sobie dom z ogrodem i krowę. Zdarzał się nawet na ziemię kupiec z pobliskiej niemieckiej kolonii. Inni przekonywali, że lepiej wierzycieli zaspokoić dobytkiem, a grunt sąsiadom wydzierżawić na trzeciak. Wszyscy sprzecząc się z sobą, zgadzali się tylko w jednej rzeczy, że Wojtek przy fortunie utrzymać się nie zdoła i szukać musi chleba u ludzi. Wojciech zabeczany, z głową zwieszoną, siedział pod piecem i tylko słuchał tych narad, a nawet jakby mało słuchał i tylko długo nic nie mówił.

Aż oto nagle zerwał się z zydlą, otarł rękawem lzy z oczów, stanął pośrodku izby i ujawszy się prawą ręką za głowę, rzeknie nagle:

— „Niech tam ojcowie radzą sobie jak im się podoba, ale ja tej ziemi mojej nie porzucę! Nie będzie deptał tej skiby żaden pluder. Tu pracował mój dziad i pradziad i ja pracować tu będę i wypracować muszę, choćbym do śmierci krwawym oblewał się potem. Ani matka tej chałupy nie ustąpi nikomu, ani ja!“

Tu Wojtek tupnął w ziemię nogą, aż się ściany starej chaty zatrzęsły. Z pod zmarszczonych brwi błysnęły mu oczy dziwnym ogniem, a spojrzawszy na płaczącą matkę, rzucił się jej do kolan, które począł ścisnąć i całować.



Stań! pośrodku izby i ująwszy się prawą ręką za głowę rzeknie nagle:

Wszyscy otworzyli szeroko gęby z podziwu, bo nie wiedzieli z kąd się w tym zwykle cichym chłopcu mogło wziąć na raz tyle odważnej mowy i ambitu.

Owóz zaczęto teraz całkiem inaczej gadać w tej sprawie. Chodziło tylko o zapewnienie wierzących, że wszystko co do grosza od Bożywojów odbiorą, jeżeli oczywiście czas jakiś cierpliwie poczekać zechcą. Gospodarze wzięli to zapewnienie na siebie i poczęli chwalić postępek Wojtki, a on ich w ręce całował i mówił wzruszonym spokojnym już głosem:

— „Bóg jest w niebie i sierot swoich nie opuści; dał mi On dziesięć palców zdrowych do roboty, więc będę pracował za słońca i za miesiąca, a nie dam pod nóż chazana, lub do rąk Niemca tych czarnych wolików i graniastych jałoszek, com je sam wyhodował.“

Gospodarzom podobala się bardzo ta jego mowa i tylko doradzać zaczęli młodemu, jak sobie ma poczynąć przy braku siana i jak nawożąc na podściół czarne wysuszone bagnisko, oraz siejąc lubin do przyorania na zielono pod żyto, ilość dobrej mierzwy ma podwoić.

Wojciech przez pierwszy rok po tem wszystkiem gospodarował tylko z matką, ale gdy ta od dawnych zgryzot na zdrowiu podupadła, ożenił się z pracowitą i pocziwą choć ubogą dziewczyną, która była także sierotą. Z początku gospodarka szła im ciężko, ale po Wojtku nikt tego poznać nie mógł. Nie narzekał on nigdy przed ludźmi na nic, zawsze wesół i pełen otuchy, wstawał najraniej, dobytku doglądał troskliwie, starając się nie o wielką jego liczbę, ale żeby dobrze

wyglądał; orał i bronował starannie, perz z roli wygrabiał, kamienie zbierał i płoty z nich układał, siał wcześnie czystem ziarnem, śmiecie z drogi i podwórza na nawóz zgarniał, błoto z trzęsawiska woził, a gnój roztrząsał drobnoucho własnymi rękami, mawiając, że kto samych do tego używa widel, a ręką dotknąć się brzydź, nie wart chleba. Przezornym był w sprzedawaniu ziarna, więc na współkę z drugim sąsiadem kupił wagę i zboże na targ ważył, żeby go nie oszukano w miasteczku, tak jak oszukiwano na miarze i wadze wszystkich innych. Nawet siano rznał na sieczkę, bacząc, aby ani ździebelko nie zmarnowało się pod żłobem, lub garstka słomy żeby nie poniewierała się na drodze. Matka z synową z welny własnych owiec wyrabiały samodział na siermięgi, z własnego lnu tkwały płótno na bieliznę, a z przędzy lnianej z wełnianą, piękne i mocne pól sukienka na inną odzież. Gdy zdarzył się jaki dzień wolniejszy, Wojciechowie szli na zarobek do dworu lub innych sąsiadów, mawiając, że choć gospodarz na roli, ale grzeszy, jeżeli mogąc zarobić, siedzi w domu, nie zarobi i grosza nie oszczędzi, każdy bowiem powinien myśleć o zapasie i żadnej sposobności do uczciwego zarobku nie opuścić.

Święta ziemia wywdzięczając się Wojtkowi za troskliwe koło niej staranie i za to, że jej Niemcowi nie zaprzedał, rodziła mu plony obfite. Wojciech więc we dwa lata spłacił żydowskie długi, a po drugich dwóch leciach wykupił łakę z zastawu. Wtedy już gospodarstwo jego stało się silnie na nogach; ale pomimo to, nie-

tylko w pracy mozolnej nie ustawał, lecz jeszcze coraz więcej nabierał wytrwałości i doświadczenia. Po trzech dwóch latach wykupił resztę pola z zastawu. W siódmym roku, gdy stara Bożywojowa chałupa, w ziemię po okna wrosnięta, zawaleniem groziła, postawił to nowe domostwo. Teraz mówią, że ma już grosiwo zapaśne. I zapewne, że przy takiej pracy i skrzętności uzbierać coś musiał, bo targuje pół kolonii od tego samego Niemca, który to dawniej chciał po Bożywoju grunt kupić! Wojciech chce mu nawet za tę kolonię sowicie zapłacić, bo powiada, że każdy uczciwy człowiek, choćby miał krwawo cały wiek przepracować, to powinien o to się starać serdecznie, żeby choć po jednym zagonie ziemię rodzinną z rąk niemieckich wykupował.

Idąc dalej, zbliżyliśmy się do domu, który jakby dworek szlachecki wyglądał. W ganku stały szerokie ławy, pod oknami wdzięczyły się grzędy kwiatów, w środku małego dziedzińca kompas, pokazujący godziny słoneczne, a w ogródku stolik i kamienie do siedzenia pod cienistą lipą. Stary Ścibor wskazując prawą ręką, rzekł znacząco: Tu mieszka nasz Kazimierz Sokolik, który szkoły przebywał. Pamiętam, gdym jeszcze wybierał się za morze, jak mały Kazuch boso gęsi swojej matki pasał, ale już wówczas do książki okazywał wielką ciekawość. Ojciec jego był we dworze karbowym, a zasnęła panna Zofia siostrzenica dziedziczki, zawsze dla wszystkich poświęcająca się, jednej zimy

czytać Kazucha nauczyła, a przez drugą, przyłożyła go do pisma, jak to corocznie z kilkorgiem dzieci służby dworskiej czynić zwykła. Mówiono we wsi, że już chyba Kazuch na księdza kiedy wykieruje się, bo każdą książkę i pismo mógł rozebrać. Gdy bywało przyjdzie jakiś papier z urzędu gminnego do sołtysa, to zaraz woła ją starsi Kozucha do pomocy, nazywając już go wtedy jak starego, Kaźmierzem. A czasem i sam sołtys, Maciej, włożywszy wysoką baranią kapuzę na łysą głowę, i zrzućwszy pychę z serca, niby mimochodem, wstępuje do izby karbowego, zagaduje o czem innem, a potem jakoby tylko niechcący znajduje papier w zanadrzu lub kapuzie i prosi: „Rozeznaj no tu mój Kaziulku to pismo, bo mi wnuczki okulary gdzieś zarzuciły i bez nich nie dowidzę, a tu Węgry ze szpilkami jak na złość nie masz.

Państwo we dworze widząc, że z Kazucha może być kiedyś człowiek z tęgą głową, dopomogli karbowemu oddać chłopca do szkoły w miasteczku. Jakoż niebawem Kazuch stał się pomoćnym samemu panu bakałarzowi, nauczając dzieci młodsze od siebie. W ciągu roku przygotował się do gimnazjum, a panowie z proboszczem uradzili, aby go tam wysłać od lata. W rok potem Kazuch przyjechał do rodziców na wakacje już w granatowym mundurku i z hustką do nosa w kieszeni. Chustka do nosa, szczególny respekt pośród chłopców wiejskich wzbudzała a sołtys Maciej podawał mu rękę z polityką, jak staremu, i tytułując „panem Kaźmierzem,“ częstował poważnie tabaką z wielkiej gościnnej swojej



i tytułując „panem Kaźmierzem,” częstował poważnie
tabaką

tabakiery, co tylko starszym zwykł był czynić na znak poważania.

Chodząc do szkół, młody Sokolik uczył dzieci po domach pańskich, i tak idąc o własnych prawie siłach ukończył klasy. Po tem uczył się jeszcze w szkole najwyższej, a ludzie mówili, że pewno wyjdzie kiedyś na biskupa lub pana radcę. Aż oto nagle gdy karbowy na dychawicę skończył, Kaźmierz powrócił do Sławopola, na mogile ojca krzyż postawił i do gospodarzy, którzy spodziewali się, że im ojcową rolę i dom za tani grosz sprzeda, tak rzecze:

— „Moi mili sąsiedzi, przesąd to z czasów dawniejszych, godny dziś zapomnienia, że gospodarzem na roli, prosty człowiek być może, że kto się uczył w szkołach, ten pługiem orać nie powinien. Wiercieć mi, że żadna praca nie krzywdzi nigdy człowieka, tylko próżniactwo krzywdzi, że byle mieć zdrowy rozum w głowie, to każdą pracę można pokochać, każdej się nauczyć, do każdej przywyknąć. Przyjeżdżając ze szkół latem do domu, miałem największą rozkosz gdy ocierając pot z czoła, mogłem zorać choć jeden zagon ziemi memu ojcu. Dumiałem zawsze o tem, aby na tej roli kiedyś osiąść, żyć pośród tego siola i umrzeć tu między wami, pod moją strzechą rodzinną. I dziś miałabym to wszystko wyprzedać i wyrzec się najmilszego celu życia? Nauka, którą nabyłem, przyda się wielce w tym zakątku, tak mnie, jako i wam najmilszi. Wiem, że będę miał tutaj życie skromne i chleb czarny, a to będę daleki od miejskiego rozgardjaszu, będę oddychał swobodnie świeżem powietrzem naszych pól

i lasów, pił czystą wodę naszych źrójów, spożywał słodkie owoce własnej pracy, odpoczywał pod cieniem drzewa, które zasadził mój rodzic, patrzył na te niwy rodzinne i wioskę, na szczerłość serc naszych i stary nasz obyczaj, będąc słuchał tej mowy swojskiej i tych pieśni odwiecznych, które od dziecka ukochałem całą duszą.“

Gospodarze spuścili nosy i odeszli kręcąc głowami, bo nie zdało im się możliwem, aby człek uczony, taki jak mówili „medyk“, potrafił pracować w roli jako prosty chłop.

— „Oho! — rzekł Kuba do Piotra za płotem, gdy wyszli od Sokolika — już to z tej mąki chleba nie będzie, nie urosną gruszki na wierzbie, rękę ma białą jak panna miejska, chyba w rękawicach będzie gnój nakładał i woził“.

Jakoż istotnie, przez czas jakiś z początku, twar-
da praca szybko nużyła Sokolika, zanim nawykł do niej powoli. Ale czego to nie dokaże silna wola i wytrwa-
łość w młodym wieku. Do tego złożyło się pomyślnie że Sokolik miał wujka wdowca, który po służbach cho-
dził i wszystkie gospodarskie roboty umiał dobrze. Ka-
mierz więc przygarnął wujka do siebie, sam przywdział do roboty samodziałową czamarkę i teraz jaknajlepiej gospodarują razem, ku podziwowi prostych ludzi.

A w każdą niedzielę i święto to u pana Sokolika jak na plebanii. Jedni przychodzą po dobrą radę i mą-
dre słowo w swych kłopotach, inni kupują lub pożyczają książki które on sprowadza z księgarni do naszej
wiejskiej czytelni. Obraliśmy go opiekunem naszej szko-

ły, w której i sam niektórych rzeczy naucza, a żadne zebranie gromadzkie i gminne, obejść się bez niego nie może. On tam głową, sercem i radą, on słowem i piórem przewodniczy. Głowa to powiadam Waści do złoty, człek serdeczny i przyjacielski, jak to mówią do tańca i różańca. Choć uczony jak rabin, a jednak wszelką pychą się brzydzi, i zaproszony na biesiadę lub wesele, nie odmawia. Długo tam jednak nie bawi, ale dawnym zwyczajem, jako najmowniejszy, miewa nieraz stosowne do okoliczności przemówienia, któremi tak wszystkich zwykle poruszy, że albo z rozrzewnienia jak bobry szlochają, albo izba cała grzmi śmiechem bez końca.

Dla starej Sokolikowej, acz najprostszej sobie kobiety, dobry syn wielkie ma poważanie i miłość. Zawsze rano na dzieńdobry, także po każdym posiłku i na dobranoc, w rękę ją całuje i powiada, że wdzięcznym do zgonu być dla niej musi za życie, które mu dała, za wypielegnowanie w dzieciństwie, za jej miłość macierzyńską i za pierwszą naukę o tem co jest złe a co dobre, bez której człowiek każdy byłby gorszym od bydłęcia na tym świecie.

Staruszka słynęła niegdyś, za swoich lat młodych, jako pierwsza między dziewczętami w Sławopolu śpiewaczka. Umiała bowiem starodownych pieśni bez liku, które czystym, donośnym a dźwięcznym jak srebro głosem przy robocie w polu, w ogrodzie lub przy kądździeli w domu zawodziła. Młody Sokolik wielce lubi gdy matka przy wieczornem ognisku przypomina so-

bie pieśni starodawne, które on spisuje i do wydrukowania posyła, a wydrukowane rozdaje dziewczętom i uczącym się w szkole dzieciom, aby tych pieśni nie ważyły się zapominać. Tłumaczy on nam nieraz, że starodawnych pieśni, nie trzeba uważać za prostackie, że nie można ich lekceważyć, ale godzi się szanować je i przechowywać dla przyszłych pokoleń. Pieśni te bowiem wykwitły z ducha ludu, jako żywica płynąca z rdzenia drzewnego, a liczne wieki i setne pokolenia złożyły w nich swoje uczucia i myśli, mowę i muzykę, lzy niedoli i uśmiech radości.

Szliśmy przez Sławopole dalej. Za sokolikowym ogrodem stała przy ulicy kuźnia, w której słychać było różne bicie dwóch młotów i brzęk kutego żelaza. Kowal widocznie był tu dobry, bo pod obszerną wystawą dachu, stały liczne narzędzia i maszyny rolnicze, dane mu do naprawy, a obok kuźni widać było jego maneż konny do poruszania tokarni żelaznej służący.

Tutaj—rzecze Ścibor, ciągnąc swoje opowiadanie—mieszka dwóch braci rodzonych: Jacek i Bronisław Borutowie. Gospodarkę wzięli po rodzicach małą, więc rozsądnie postanowili nie rozdzielać jej między siebie ale pole pozostawić całe w ręku Jacka, który za to podjął się wybudować dla Bronka kuźnię i domek, wydzielić mu ogród, dawać w polu przysiewku i w razie potrzeby pożyczać konia do tokarni. Bronek bowiem

uczył się trzy lata u dobrego kowala, a później lat parę w ślusarni i fabryce narzędzi rolniczych.

Dziś Jacek sprawuje rolę, a Bronisław kowadło. Rzemieślnik z Bronka doskonały i rzetelny. Czy to urychtować pług do orki, czy ustawić jaką maszynę większą, czy naprawić zamek najsztuczniejszy, czy okuć konia choćby królewskiego. Do wszystkiego on dziwnie zręczny i sposobny, a nawet zegarek naprawić potrafi jak zegarmistrz, tylko, że od młota prawica mu się trzęsie; więc nakręca jeno zegar na szkole tutejszej umieszczony i reguluje ściennie zegary po wszystkich domach gospodarzy w Sławopolu.

Nie taki to z Bronka kowal, jako owi dawni kowale, co to bez karczmy ani rusz, a gdy komu konia okuje, niedość, że weźmie słoną zapłatę, ale jeszcze do karczmy ciągnie i o półkwaterek się przymawia. Boruta w dniu powszednim progu gospody nie przestąpi, a nawet w święto nader rzadkim bywa w niej gościem. A jak miło patrzeć na niego gdy pracuje! Robota w rękach mu się pali a młot na włos nie chybi. Bronisław ma syna Kazucha, jedynaka, którego kieruje także na kowala. Miłuje on tego chłopca wielce, ale właśnie dla tego, że miłuje i na człowieka wyprowadzić pragnie, nie pozwala mu na próżniactwo i bisurmaństwo, jak to czynią inni rodzice kochający swe dzieci po głupiemu. Trzyma syna w skromności i posłuszeństwie, bacząc pilnie na każde jego słowo i każdy postępek, aby dla wszystkich był usługowym, starszych szanował, młodszymi dawał z siebie dobry przykład i każdy grosz zarobiony

składał do kasy oszczędności, tak żeby gdy przyjdzie nań czas żeniaczki, miał za co założyć własną kuźnię, kupić statki i warsztat. Wyrostek przeszedł najprzód tutejszą szkołę wiejską, a dziś pod okiem ojca, doskonale już wyciąga żelazo, sztachuje czyli zgrubia, obsadza, gnie, szwejsuje czyli spaja, hartuje i stali, a nawet nieźle toczy i zegary ścienne narządza.

Boruta jest wcale niegłupim człowiekiem. Szanuje on swoje rzemiosło, i nieraz o to samo innych kowali napomina. Powiada, że pług ręką kowala ukuty uprawia świętą ziemię, która wydaje człowiekowi dar Boży.

Młodym kowalom Boruta zawsze dodaje, iż jest pięć rzeczy, które hańbią kowalską profesję, a mianowicie: *pijaństwo, próżniactwo, kradzież cudzego żelaza, zakuwanie koni* i wymaganie od podróżnych większej zapłaty nad zwyczajną.

Bronisław jest przywódcą naszej straży ogniowej w Sławopolu. W szopie przy jego domu, stoją beczki napełnione zawsze wodą i sikawki, których gotowość do użycia codziennie on sprawdza. A obchodzi także nieraz wszystkie domostwa we wsi, aby przekonać się naocznie, czy znajdują się w należyтым stanie i liczbie nieodzowne do gaszenia pożaru: kubelki, bosaki, wiechy, drabiny, i ręczne sikawki do wody.

W razie ognia, straż nasza spieszy z ratunkiem nie tylko własnej wiosce, ale i do sąsiadów. Tak właśnie zdarzyło się niedawno, gdy w czasie burzy uderzył piorun w budynek przy pewnym dworze, o pół mili ztąd odległym. Niegdyś to taki panował u ciemnego ludu

grzeszny przesąd, że ognia wszczętego piorunem, więc jakoby od Boga zesłanego, nie chciano gasić. Ale później przyszli przecie ludzie do rozumu, że gdy ratuje się tonącego, gdy podlewa się wodą warzywo podczas suszy, i zapobiega w wielu innych nieszczęściach i wypadkach, które chociaż Bóg na ludzi i na ziemię zsyła, ale wkłada zarazem chrześcijański obowiązek niesienia wzajemnej pomocy, to i niechęć do gaszenia pożaru od pioruna jest nie tylko czynem pogańskim, ale ciężkim grzechem przeciw ludziom i Panu Bogu. Jakoż i w owym wypadku, gdy Boruta uderzył w dzwon na trwogę, to w pół godziny potem chwacki zastęp naszej wioskowej młodzieży uzbrojonej w sikawki i inne narzędzia ratunkowe, znajdował się już przy ogniu. Dziedzica tego majątku, na nieszczęście, nie było w domu, bo pojechał odwiedzić chorego brata, a domownicy potracili głowy, więc pozwolono pożarowi ogarnąć parę budynków najbliższych. Wiatr zaczął już przenosić zarzewie na gontowy dach dworu, który za chwilę stanąłby pewnie jako jeden słup ognia, a za nim śpichrz i całe gumno z drugiej strony domu położone. Gdy oto Boruta w mgieniu oka wdarł się i stanął z sikawką na dachu, a za nim kilku dzielnych parobczaków, którzy pomimo piekielnego żaru i dymu, oblewając wodą dach i samych siebie, wytrwali tam aż do stłumienia pożaru, a tym sposobem uratowali dwór i główne budowle. Dziedzic, który wówczas nadjechał, widząc, że wszystko zawdzięcza Borucie, uściśnął go serdecznie jak syna i chciał sowicie pieniędzmi obdarzyć, ale kował wzdrygnął się na to,



Boruta w mgnieniu oka wdarł się i stanął z sikawką na dachu a za nim...



i rzecze:— „Panie dziedzicu, krzywdę mi czynicie, że za spełnienie sąsiedzkiej przysługi i chrześcijańskiego obowiązku przyjąłbym jaką zapłatę. Jestem przecie chrześcijaninem i waszym sąsiadem, a miałbym wyrzut sumienia, gdybym nie pospieszył w nieszczęściu z pomocą. I pan gdybyś był w domu, a ujrzał że gore w Sławopolu, to przybyłbyś ratować naszą wioskę jak to czyniłeś już nieraz innym. Jestem ubogim, ale i uczciwym człowiekiem i za pieniądze przysług takich spełniać nie umiem. Dawniej bywali podobno ludzie, którzy zamiast gasić ogień, szukali tylko gdzieby co ukraść w zamieszaniu, ale byli to: bydlęta i wyrodk, których nawet nie było warto po śmierci grzebać na cmentarzu wraz z pocziwymi chrześcijany, lecz jak psów gdzieś za płotem.“

Skończyło się więc na gościnnym poczęstunku naszych dzielnych zuchów, we dworze ocalonym przez nich od zagłady, na wzajemnie szczerych podziękowaniach i życzeniach. W parę tygodni potem, dziedzic ów przysłał w podarku dla naszej straży, kupioną w Warszawie sikawkę ulepszonej budowy, jakiej jeszcze nie miała gromada w Sławopolu.

Idąc dalej ulicą wiejską, mijaliśmy sady, w których jabłonie i grusze zwieszały ponad naszą drogą gałęzie obciążone dorodnym owocem. Wyraziłem do Ścibora moje zdziwienie, że owoc, choć można go było sięgnąć z ulicy ręką, wszędzie był nietknięty. Stary odpowiedział na to, że niegdyś i w Sławopolu nie bra-

kowało szkodników, którzy kijami ciskali do gruszek na drzewach, lub zakradali się do cudzych sadów w porze nocnej. Wszystko to jednak przeminęło od czasu jak dzieci uczą się w szkołach wiejskich ogrodnictwa, i pielęgnują własne drzewka, a proboszcz, nauczyciel w szkole, rodzice w domu i dobra książka, wpoili w młode pokolenie, że owoc w cudzym sadzie jest nie mniej cudzą własnością, która święcie poszanowaną być powinna, jak drzewo w cudzym lesie, trawa na cudzej łące, zboże na polu, ziarno w śpichrzu, odzież w komorze i pieniądze w skrzyni. Że jeno złodzieje wymyślili dla siebie takie rozgrzeszenie, powiadając, iż nie jest występkiem kradzież drzewa z lasu i owocu z sadu, bo to są dary Boże, które rosną niby dla wszystkich. Nie pomni, że wszystko na tej ziemi jest darem Bożym i owocem przyrody ziemskiej, czy to jabłko i gruszka, czy warzywo, czy nawet srebro i złoto, którego rudę człowiek kopie w ziemi, oczyszcza i przerabia na pieniądze, czy len, z którego robi się płótno. Wszystko to zarówno jak owoc na drzewie jest darem Stwórcy, płodem ziemi, a niemniej ludzką własnością, której grabić nie wolno. Człowiek jest właścicielem ziemi i płodów, które ona wydaje, płaci z tej ziemi podatki lub dzierżawę, ponosi różne ciężary, ma obowiązki, a więc należą do niego wszelkie dochody i korzyści z tej ziemi, których nikt nieproszony przywłaszczać sobie niema prawa. Właściciel ogrodu pielęgnuje szkółkę owocową, szczepi dziczki, przesadza, podlewa, ogradza i dogląda nieraz przez długie lata, a najmniejszy plon tej pracy jest tak

samo jego własnością, jak każdy grosz w jego kieszeni. Ten więc, który kradnie warzywo lub owoce z ogrodu jest równie bezecnym złodziejem, jak i ten co sięga do kieszeni po cudzą kaletę, po konia do cudzej stajni lub do śpichrza po cudze zboże.

Słodki zapach kwitnących ziół powiewał silnie z ogrodu Jędrzeja Wąligóry. Ścibor opowiadał, że jest to stary wojak, który ma pasiekę i zasiewa ziola miododajne dla pszczół swoich.—Oto wśród gaju drzew wiśniowych bieli się jego domostwo. Najstarszy to wiekiem człowiek w Sławopolu, dziad już blisko stuletni, ale jeszcze zdrów jak ryba i krzepki. Gospodarkę już dawno oddał synowi swemu Wawrzyńcowi, a teraz musztruje wnuków i uczy ich porządku, bo jest wielkim nieprzyjacielem wszelkiego nieładu i niechlujstwa. Trzyma się Jędrzej jeszcze prosto jak trzcina, chodzi żwawo, mówi głosem stanowczym, goli brodę, wąsy do góry podkręca, zawsze czysto, choć skromnie odziany. Rogatywkę na prawe ucho stary zwiesza, a w ręku nosi czeczotkę z obuszkim, którą z przyzwyczajenia, tam gdzie dawniej szablę, zwykle przy lewym boku trzyma.

Wąligóra powiada, iż tak czerstwym w swej starości jest dla tego, że nie nadużywał niczego w swem życiu, nie upijał się, po nocach w karty nie grywał, miernie jadał i tylko gospodarskie potrawy, lubił ochędóstwo, dnia powszedniego nie próżnował i tytuń oddawna przestał palić. Oj nie znosi on też widoku gdy smarkacze ćmą papierosy lub fajki. A że tak stary i poważny człowiek wszystko zgromić każdemu ma prawo i obo

wiązek, więc za papierosy nie jeden już młokos ze wsi lub fireyk z miasta oberwał od Waligóry za ucho a nawet i czeczotką poniżej pleców dostał. Gdy stary wiarus zdybie młodziaka z papierosem, prawi mu zaraz naukę:

„A już zrobiłeś z gęby dymnik, pieniądze z ko-
pciem puszczasz, lepiej je schowaj na czarną godzinę,
albo oddaj matce, której pewno nie jednej rzeczy bra-
kuje, lub dla pogorzalców, których papierośnicy tylu
corocznie w kraju na żebranie wyprowadzają. Czasem
w nocy na każdej nieba stronie widać łunę, a połowę
tych pożarów dźwigają na swem sumieniu tytuniarze.
Niech się tam w miastach szlifibruki w dymie wędzą,
ale na wsi gdzie wszędy drzewo a bartłogi, to zapalki
powinni starsi zamykać na trzy zamki. Gdybym ja pra-
wo pisał — powiada stary — to najpierw karałbym tych
głupich rodziców, którzy pozwalają dzieciakom i smy-
kom émić tytuń i nosić zapalki po kieszeniach.“

Jakoż na jednym zebraniu gminnem starzec pod-
niósł tak przekonywający głos przeciw papierośnikom,
że uchwalono jednomyślnie karę na tych, którzy po gum-
nach i wśród wioski palą tytuń, narażając ogół na nie-
szczęście i zgubę wierutną.

Raz gdy Waligóra przy grzanem piwku bliższym
przyjaciółom opowiadał wspomnienia swej młodości, wy-
znał jedno wielce bolesne. — „Oto gdym za młodu je-
szcze w wojsku służył — mówił wzruszony starzec — sto-
jąc w pewnej wsi na kwaterze, siedłem z fajką przez
zabarłożone podwórze. Wiatr wydmuchnął z lulki za-
rzewie, z którego po chwili buchnął pożar. Usiłowałem

stłumić ogień z narażeniem własnego życia, ale napróżno! Budynki słomą kryte stały rzędem przy sobie, wiatr się wzmaczał, a wody i sikawek brakowało. Po chwili całe sioło gorzało jednym słupem ognia i rozlegało się jednym krzykiem rozpaczyny biednych ludzi. W godzinę kilkadziesiąt rodzin zostało bez dachu i mienia. W jednym domu gdzie rodzice zamknąwszy małe dziatki poszli w pole do pracy, spaliło się na węgiel troje biedactwa. Od tego czasu zaprzysięgłem dozgonny rozbrat z głupim nałogiem palenia tytoniu i wypowiedziałem mu wojnę, którą do grobowej deski prowadzić będę, a w każdą rocznicę owego nieszczęścia, leżę w kościele krzyżem.“

Jędrzej Waligóra oddawszy lemiesz synowi swemu Wawrzyńcowi, został przy pasiece, wśród której prawie całe lato przepędza. Kocha on swoje pszczołki i pielęgnuje jak ojciec własne dziatki, zna wszystkie ich zwyczaje i tajemnice ich życia, wie wybornie kiedy im czego potrzeba, co lubią najlepiej, czego nie znoszą, co im pomaga, co szkodzi, jak dzielić roje, osadzać matkę czyli królowę, opatrywać ule na zimę, kiedy miód podbierać, jak sycić do picia dwójniaki i trójniaki. I tego wszystkiego chętnie naucza młodzież wiejską. Ma on jakąś doświadczoną książkę o pszczelnictwie i sam buduje ule lepsze od dawnych pni i barci, bo pszczoły w nich osadzone daleko więcej miodu zrobić muszą. Jakoż za miód i воск bierze niekiedy piękny grosik, który w kasie oszczędności, jaką mamy teraz w naszej gminie, składa na wiano dla ukochanej swojej wnuczki Maryli.

Ale i Maryś kocha swojego dziadusia okrutnie, dogadzając staruszkowi we wszystkim, co on lubi. Więc i piwko grzane ma zawsze na swoją godzinę, które mu najlepiej siły podtrzymuje, pościolkę i bieliznę zawsze czystą i starannie pocerowaną, siennik świeżem siankiem co kilka niedziel napełniany, izdebkę codzień zamiecioną, kurze pościerane, wodę zdrojową świeżą w polewanym dzbanku, a nawet kwiatki w doniczkach na oknie, żeby mu powietrze w izdebce odświeżały.

Wawrzyniec jest dla swojego ojca najlepszym synem, jako człowiek zacny i chrześcijanin prawy. Raz byłem obecny—opowiadał dalej Piotr Ścibor—jak pewien syn niegodny wymawiał swemu rodzicowi że już stary, że nie ma sił do roboty, więc na chleb u syna zarobić nie może i powinien wyjść na żebranię do ludzi. Wawrzyniec, który był przy tem, porwał się z miejsca jak piorun i przyskoczywszy oko w oko do nieponia: —A ty dałeś rady orać i kosić od kołyski?—wykrzyknął—czy cię nie karmił rodzic lat tyle, odejmując sobie najlepsze kęski od gęby i ostatni grosz wydając na leki, gdyś chorował! A przecież lepiej żebyś wtedy poszedł był ziemię gryźć, niż dziś wymawiał ojcu jego starość! —

Krew Wawrzyńcowi kipiała w żyłach, iskry się sypały z oczu, włosy dębem stanęły mu na głowie, szeroka dłoń zacisnęła się w żelazny kulak i byłoby już źle z tamtym trutniem, gdybyśmy nie stanęli między nimi, a zmyty niepoń nie umknął chyłkiem, korzystając z zamieszania.

W tym domu, który teraz mijamy — mówił dalej mój przewodnik po Sławopolu — mieszka razem z trzema synami wdowa po Bartłomieju Łuczniku. Bartłomiej wcześniej umierając, osierocił liczny drobiazg. Był to mój kum i przyjaciel od serca i pamiętam, jak dzisiaj, ostatnią chwilę jego życia. Był już bliski skonu, ale jeszcze przytomny. Przyjął święte oleje, księdzę w rękę pocałował i leżąc na białej pościeli z krzyżykiem w dłoni, ze spokojem na twarzy i łzą w oku, zaczął żegnać się ze wszystkimi, którzy otoczyli jego łoże. A najprzód uspokajał klęczącą przy nim i zawodzącą płaczem żonę, czterech synków i dwie córki. Poleciał niebodze, żeby gdy chłopcy podrosną, zostawiwszy jednego na gospodarce, trzech oddała na naukę do jakich dobrych rzemieślników. Zaklął dzieci aby szanowały matkę i opiekowały się nią w starości. Całował ją i błogosławił i poraz ostatni do piersi swoich drżącą ręką przyciskał. Wszyscyśmy płakali — on już nie żył.

Wola ojca została spełnioną. Protazy wyszedł na rymarza, Bolek trochę ułomny i kulawy na szewca, a Mieczysław jest mularzem. Czwarty syn, Bartłomiej, który swego ojca nosi imię, został przy pługu. Gospodarz z niego zawołany, co mu nawet nieboszczyk przepowiadał, gdyż w dzień świętego Bartłomieja przyszedł na świat. Mularz osiadł w mieście, gdzie ma więcej roboty niż na wsi, a powodzi mu się tam dobrze, bo jest pracowitym, sumiennym i trzeźwym rzemieślnikiem. Nie poniedziałkuje on nigdy, a za to po złotówce nosi do kasy oszczędności, mawiając do ludzi, że o zasobie na

czarną godzinę każdy pamiętać winien, że jest dla dzieci swoich ojcem a nie wrogiem, więc o ich doli przyszłej myśleć zawczasu winien i jednego grosza sumienie rodzica nie pozwala puścić mu na marne.

Protazy i Bolesław nabrawszy u ludzi doświadczenia w swych rękodzielach, powrócili do rodzinnego gniazda i w Sławopolu zajmują się rzemiosłami. Pierwszy, gdy uczył się jeszcze rymarstwa, pomiarkował, że na wsi opłaci mu się również i garbarstwo i białoskórnictwo. Wiadomo bowiem, że surowe skóry można nabywać po wsiach tanio, ale gdy przejdą przez ręce kilku handlujących i garbarza, to później nie można dokupić się rzemienia, taki drogi. I to jest główny powód, dla którego nasi wieśniacy tak mało posiadają dobrej uprząży i tak wiele chodzą boso. To też Protazy rok cały pracował w garbarni, a teraz nie tylko szyje zaprzęgi, ale także sam kupuje skóry, wykręca na surowiec lub wyprawia i sprzedaje na obuwie. Robi uprząż nie tylko na zamówienia sąsiadów, ale także wywozi na jarmarki do okolicznych miasteczek, gdzie ma sprzedaż pewną, bo robota jego jest znana ze swej dobroci.

Tym sposobem, gdy mamy teraz we wsi uczciwego garbarza i szewca, obuwie kosztuje nas daleko taniej niż kupowane w miasteczkach i chodzić w niem możemy o rok dłużej niż w tandecie. Więc też w Sławopolu dziecięta biegają w ciżemkach, nawet latem w dzień powszedni gdy dawniej w mróz i błoto dzieci dreptały na bosaka, zaziębiając się nieraz i nogi szkłem kalecząc.

Garbaty Bolek szyje obuwie mocne, wygodne a tanie. Rzemieślnik z niego osobliwszy, to też ma u ludzi

uwážanie. Obuwie jego dziwnie zawsze jest dogodnem, bo nie tylko bierze miarę na nogi, ale także ogląda i stare obuwie tej osoby, z którego widzi jak odpowiednio do ciśnienia nogi, nowe wygodne ma przygotować. Do powszedniego użytku latem, robi on dla mężczyzn i niewiaśc tanie ciżmy z drewnianemi podeszwami, a na zimę ciepłe papucie i krajczaki. Szewc chociaż ciałem chromy, ale duszą jest chwatem nielada, mowny i nie głupi, czuprynę nosi do góry i nie da sobie napluć w kaszę. Potrzásając pocięglem, oznajmia z powagą, że jest szewcem i opowiada co od starych majstrów słyssał, iż nieraz zacni szewcy wielkie miewali u ludzi znaczenie.

Stara Łucznikowa mieszka przy synach, którzy otaczają matkę troskliwością. Ona miłuje swoje trzy synowe jakby córki rodzone, a synowe pokochały dobrą teścię jakby rodzoną macierz. Dano jej izdebkę oddzielną, żeby mogła snadniej zażywać wczasu, który starym gościom się należy i nie zezwolili żeby żyła o swoim garnuszk, bo poczeiwe synowe chcą wszystkie dogadzać świekrze tem co ona lubi, co dla niej najzdrowsze. — Onać nas porodziła, mówią synowie, karmiła mlekiem z własnej piersi a ileż nocy niedospała, ile wynosiła nas na rękę i wszelakiego trudu zażyła, nim odchowala nas od ziemi. Za tę naszą troskliwość dla niej, Bóg zapłaci nam taką samą opieką, której my potem w starości naszej sami od dzieci naszych potrzebować będziemy.

Przechodziliśmy teraz koło domu, który obszernością swoją przewyższał inne w Sławopolu. Tu mie-

szka—mówił stary Ścibor—pod jednym dachem trzech braci Drozdów: Wojciech, Stanisław i Jan. Ojciec ich miał gruntu kawał duży, było więc czem się dzielić. Dwaj bracia starsi aby nie ukrzywdzić przy tym podziale najmłodszego, który był jeszcze wyrostkiem, jako ludzie z sumieniem i wiarą, oddali mu zwyczajem starodawnym główną czyli pierwszą izbę w domu ojcowskim, sami poprzestając na mniejszych świetlicach, do których przybudowali potem alkierzyki. Dzielać się rolą, aby także nie było pomówiska, iż wybrali sobie grunt najlepszy, poszli również za dawnym zwyczajem, który bratu starszemu nakazywał brać w polu dział od wschodu lub północy, a młodszemu od zachodniej lub południowej strony. To też słyną bracia Drozdowie na kilka parafii z miłości i zgody wzajemnej, w której żyją zarówno sami, jako też ich niewiasty i dzieci, jedną stanowią rodzinę.

Mawiał nieraz nieboszczyk stary Drozd, że „gdzie zgoda, tam Bóg mieszka,” a do tej jego przypowieści stara Drozdowa zawsze dodawała zaraz drugie przysłowie: „iż przy dobrej zgodzie, można gotować kluski w jednej wodzie.” Podług takich to zasad wychowali oni dzieci swoje na ludzi, którzy dziś służą wszystkim za przykład pożycia rodzinnego. Brat za brata staje wszędzie jako za siebie, bratowa za bratową jak za rodziną siostrę, a gdy się kto sprzeciwi któremu z ich chłopców lub dziewcząt, to tak jakbyś w ul dmuchnął, lub kopnął w mrowisko, sypnie się cała drużyna dziatwy do obrony jednego. W domu Drozdów ład wielki, czystość i porządek przedziwny, podług słów poety:

„W izbie wesoło,
Obrazy w koło,
Za obrazami
Palma z wiankami,
Żar na kominie,
W kwiateczki skrzynie,
Obok w komorze:
Odzież i zboże.“

Na stole leży u nich zawsze starym zwyczajem chleb i sól, białym obrusem przysłonięte.

Pod ich strzechą wieczny panuje spokój i pogoda myśli. Choć każde z nich czem innem jest zajęte, ale jednym duchem tętną wszyscy. Młodzi szanują i słuchają starszych, a gdy przestąpiłeś próg ich domu, to zdaje ci się, że przestąpiłeś próg jakiej świątyni. Razem oni przy pracy dobranym głosem pieśni nócą, razem dopełniają każdą cięższą robotę, razem spieszą w święta do kościoła, razem po wieczery i całodziennych trudach klękają do modlitwy wieczornej.

To też nasz proboszcz, gdy na początku każdego roku nawiedza *po kołędzie* domy wszystkie parafjan, aby poznać bliżej ich pożyte rodzinne, ład domowy i potrzeby i wysłuchać pacierza dziatwę, której rozdaje pożyteczne książeczki—stawia zawsze braci Drozdów jako wzór do naśladowania dla wszystkich.

Ponieważ gospodarstwo po starym Drozdzie podzielone na trzy części między synów, nie zapewniało trzem licznym ich rodzinom zbytku chleba, więc każdy z nich, aby sobie dopomódz, ma jeszcze dodatkowy sposób jakiegoś zarobku. Wojciech od ojca swego wyu-

czył się ciesielki, Stanisław od ogrodnika w pobliskim dworze, który zawsze szklił inspekta i cieplarnie, nauczył się szklarstwa, a Jan gdy zasieje oziminę we Wrześniu, skupuje gęsi, indyki, kury, jaja i do miasta wywozi. Tym sposobem wszystkie wolniejsze chwile jakie im od gospodarstwa pozostają, umięją Drozdowie spożytkować. U nich, to ręka rękę umywa, noga nogę wspiera, a we wspólnie i przy pomocy wzajemnej, mogą takie rzeczy dokonywać, którym, każdy sam sobie zostawiony nigdyby poradzić nie zdołał. Oto na przykład, gdy raz Wojciech podjął się za pewną sumę pieniędzy dom sąsiadowi z własnego materiału wystawić, to Jan i Stanisław dopożyczyli mu na drzewo, które kupione ryczałtem, czyli jednorazowo, taniej kosztowało. Gdy potem Jan potrzebował grosza na większe kupno drobiu, dopomógł mu w tem cieśla i Stanisław, a gdy znowu Stanisław jechał do huty po szyby, to mu Wojciech z Janem pieniędzy na kupno większego zapasu szkła dodali. Tym sposobem każdy z nich choć działał na własną rękę, ale działał tem skuteczniej, że siły do działania miał potrójne, bo pomocą braci wsparte.

Szliśmy dalej, mijając otoczone ogródkami nowe i stare, mniejsze i większe, ale zarówno schludne domostwa Sławopola. Ścibor ukazał mi teraz dom wyróżniający się od innych ozdobnym gankiem, wspartym na czterech rzeźbionych słupach. Szczyt, okapy i okna domu, miały pewne upiększenia z desek powyrzynane.

Ogródek przy domu był także otoczony płotkiem dość misternym.

Jest to siedziba pocziwego Jarosza, rzekł mój towarzysz. Stary ma dwóch synów, z których jeden pomaga ojcu w gospodarce, a drugi Antek wyuczył się kołodziejstwa i bednarstwa. Będąc jeszcze młodym chłopcem, okazywał już wielką skłonność do rzemiosł. Bywało, gdy inni smarkacze wykręcają wróble w strzechach lub bawią się zbijaniem kręga na ulicy, to Antek siedzi na kamieniu pod ścianą i struże kozikiem patyki, a nim spostrzeżesz się, złoży z nich mały wózek z drabinkami lub krosna do tkania płótna. Ojciec kręcił na to głową i mówił sam do siebie, że pewno będzie z Antka jakiś majster.

Razu pewnego, pędrak ten zrobił wiatrak, w którym wszystko było jak w prawdziwym, tylko kamienie były z drzewa. Ustawił go na płocie, a wiatr zaczął obracać skrzydła, koła, paprzycę i pytel. Zeszli się bliżsi sąsiedzi na to dziwowisko, Antek schował się do chlewka, a oni otoczyli starą Jakubowę, matkę Jarosza, która zwykle w pogadankach rej wiodła. Baba słynęła zdawna jako wielka gospodyni, z niezwykłym olejem w głowie, mówiąca zawsze głośno prawdę ludziom w oczy. Jakubowa, kobieta wysokiego wzrostu i dobrej tuszy w białym wielkim czepcu i chustce po staroświecku koło niego zawiązanej, rozpromieniona radosnem uniesieniem, wobec mielącego trociny wiatraka i grona ludzi z otwartymi gębami, machając rękami przepowiadała głośno, że z jej wnuka będzie kiedyś najniezawodniej

młynarz, z czego cieszyła się wielce, dodając, że młynarska profesya była z dawnych czasów w wielkiem poważaniu u ludzi.

Ale Antek nie wyszedł na młynarza. Oddany przez ojca do kołodzieja w Krzywej Woli, taką okazał zdolność do tego rzemiosła, że po dwóch latach umiał już więcej od swojego majstra. Oprócz kołodziejstwa, miał on tam dobrą sposobność przypatrzenia się i bednarce. W trzeciej bowiem chałupie za kołodziejem, mieszkał bednarz Błażej Wątorek, do którego Antek wyrwał się skwapliwie, aby mu w najcięższych robotach pomagać. Oczywiście ta ochota nie była bez kozery. Wątorek miał córkę, rumianą jak krew z mlekiem Zośkę, do której Antek smalił cholewki i z którą w lat kilka potem się ożenił. Zkąd nauczył się Antek stolarki, tego już nie wiem, ale najprędzej z własnej ciekawości. Dosić, że teraz Sławopole wielką ma z niego wygodę. Czy komu wóz potrzebny, czy sanki, czy skrzynia wyprawna na małych kółkach lub kłoda do kwaszenia kapusty i ogórków, czy kołyska lub trumna, po wszystko idą jak w dym do młodego Jarosza. On stara się każdemu dogodzić podług upodobania i potrzeby, a od nikogo grosza jednego nie weźmie więcej jak warto. Umie także pomalować co trzeba olejną farbą, żeby drzewo niegniło tak przedko na powietrzu i słońcu. A sprzęty domowe ozdabia nieraz barwnie i wzorzysto. Na kolebce dla Drozdów wymalował, jak bocian przynosi im w dziobie dzieciątko; a na skrzyni wyprawnej dla Łucznikówny, jak młodzian płynąć łódką, dogania puszczonego z wodą jej wieniec, co

jak wiadomo w wieczór świętojański, dziewczęta kwoli wróżbie zamażpójścia czynić zwykły.

Ponieważ rzemieślnik z Antoniego wielce sumienny, więc dba o to żeby wszystko robił z bardzo suchego drzewa. Ma też zawsze przysposobione zapasy naciesanej dębiny, grabiny, brzeziny i desek rozmaitych, które na przewiewach po lat parę dosusza, zanim użyje. Robi on to tak samo, jak widziałem czynią amerykańscy i angielscy rzemieślnicy, których wyroby kołodziej-skie i stolarskie odznaczają się z tego powodu szczególną mocą i trwałością.

Z dala bielił się dom murowany pod dachówką, po-śród budynków gospodarskich z kamienia i cegły posta-wionych. Była to jak mnie objaśnił stary Ścibor sie-dziba najzamożniejszego w Sławopolu kmiecia Macieja Cholewy, nazywanego przez niektórych ze szlachecka „panem Cholewińskim.“ Maciej za młodu nie z jedne-go pieca chleb jadał, a służąc w mieście i przy fabrykach u kupców i przemysłowców, nauczył się prowadzenia rachunków i zaoszczędził trochę grosza. Byłby także zapewne i sam wyszedł na jakiego kupca, gdyby nie nagła śmierć starszego a bezdzietnego brata, w skutek której musiał powrócić do domu i osiąść na zaniebanej przez niego roli ojcowej.

W drużynie naszych wieśniaków, łatwo poznać pa-na Macieja Cholewę po zegarku, który nosi przy sobie i książeczce w czarnych okładkach z zatkniętym przy

niej ołówkiem, którą często z kieszeni dobywa i ołówkiem to i owo zapisuje. A zapisuje on tam dla pamięci wszystko: co kiedy ma zrobić, co wydał, co wziął, po czemu co kosztuje, gdzie co najlepiej kupić lub sprzedać, ile czego sam posiada, co z czego się robi i do czego służyć z pożytkiem może. Maciej oblicza wszystko na pieniądze, wartość zboża, dobytku, narzędzi, paszy dawanej dobytkowi, a nawet wszelkiej pracy i czasu. Lubi on dawać nauki młodym ludziom, bo powiada że w żadnym kraju i narodzie młodzież nie jest tak skłonna do próżniactwa, nieporządku, marnotrawstwa i lekkomyślności jak w kraju i narodzie naszym. Prawi też nieraz elegantom i papierosnikom, że „po groszu zbierając, zbierzesz, a po szelągu ciskając rozciskasz, że król wielki pan, ale łopatą cukru nie jada, że niema się gęba wyżej nosa nosić, że podpieraj a zbieraj, że zgadzaj się gęba z mieszkciem, a gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść, że dał ci Bóg dary, używajże miary a ty rozchodzie bądź z przychodem w zgodzie, że kto nie szanuje grosza, ten nie wart szeląga.“

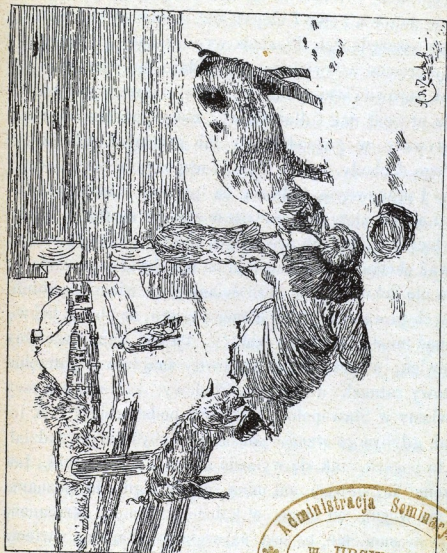
Był tu w sąsiedniej wsi Pustocinie Kostek Przeora, nazywany talafusem, który po karczmach i kiermaszach hulając i w domu nigdy nie siedząc, gospodarkę ojcowską srodze zaniedbywał. Cholewa przymawiał mu nieraz starem przysłowiem, że „jak jest, to szelest, potem łapy liź“ że „kto żyje bez rachunku, umiera bez porzebu.“ To ostatnie przysłowie sprawdziło się prędzej niż przypuszczano. Gdy bowiem przeszłej zimy podczas mroźnej zawiei, Przeora pijany powracał pieszo

w nocy do Pustocina, zbląkał się, upadł, zasnął i zmarł za stodołą sąsiada. Możeby jeszcze nie zmarł na śmierć, ale zanim się obejrzano, wieprze soltysowe odzież na nim w kęsy poszarpały i głowę sprośnie ogryzły tak, że pomimo ratunku skonał w męczarniach.

Cholewa nie jest skuerą i skąpcem, ale tylko człowiekiem oszczędnym, rachunkowym i skrzętnym, jak Bóg przykazał. Drogich rzeczy nie kupuje, w gospodach i karczmach na poczęstunki pieniędzy nie szasta, ubiera się skromnie na codzień w samodział, a od święta w szaraczkową bekieszę, żona zaś jego w białe czepece i domowej roboty pólstukienka, z których wyrobu na całą parafię słynie gospodarna ta kobieta.

Z czasem przyszedł nasz Maciej do pięknego grosiwa. Więc gdy przed kilku laty w samo żniwo piorun spalił mu drewniane domostwo i stodoły, nie straciwszy na tem wiele, bo człowiek przezorny, miał ubezpieczone wszystko od ognia podług rzetelnej wartości, wystawił dzisiejsze budynki z kamienia, cegły i dachówki, żeby tak łatwo zgorzeć nie mogły. W roku zeszłym kupił u sąsiada stary drewniany wiatrak, który także łatwo ogniem mógł być zniszczony, i w jego miejsce postawił murowany, bezpieczny od ognia, holenderski, tak urządzo-ny, że tylko czapkę czyli dach młynarz obraca i nastawia podług wiatru. Z wiatraka tego cała wieś nasza ma prawdziwą wygodę, mlewo uczciwe, bez kradzieży i tanie, a Maciej przychód rzetelny.

Pieniądzy Cholewa nigdy w domu nie trzyma i nie przechowuje w ukryciu, nie zakopuje w ziemi jak to



wieprze soltysowe odzież na nim w kęsy poszarpały i głowę sprośnie
pogryzły,



niektórzy czynią. Grosz — powiada on — powinien zawsze przynosić pożytek, to jest w taki lub inny sposób procentować, czy to włożony w obrót jakiego przemysłu, czy w dobytek żywy i ulepszenia gospodarskie, czy do kassy oszczędności. Pieniądz wypożyczony na umiarkowany procent człowiekowi gospodarnemu, przynosi pożytek zarówno wierzycielowi, który zawierzył i otrzymuje procent, jak i dłużnikowi, który pożyczony grosz, włożywszy w gospodarstwo lub przemysł podwyższył z niego dochody. Pan Maciej wypożycza więc uczciwym i pracowitym ludziom na procent szósty rocznie, czyli od stu złotych bierze sześć złotych na rok, a nigdy nie bierze większych procentów, choć mu takowe nieraz dawać chciano. „Nie chcę ludzi obdzierać — powiada — bom nie lichwiarz ale chrześcianin, bo wiem, że rolnik dużych procentów płacić niema z czego, że placąc lichwę zginąć musi i długu nie odda.“ To też każdy rzetelny człowiek, a przy tem pracowity znajduje w potrzebie gotowy ratunek u Macieja Cholewy, którego wszyscy zowiemy w Sławopolu „strykiem-podskarbib.“ A jednak gdybyś go waszeć poznał, nigdybyś nie powiedział, że to bogacz, tak się wynosić nad innych nie lubi, tak nikomu ani słowem, ani miną nie da nigdy do poznania że ma więcej od niego w kabzie. „Cnota, skromność i czyste sumienie, to jest największy skarb na świecie — powiada nieraz Cholewa — a nie worek pieniędzy.“ Mamonę może mieć grzeszny i podły człek, ale czyste sumienie tylko zacny. Chrystus Pan był ubogim na tej ziemi, więc każdy kto się majątkiem nad innych

braci wynosi, jest nie tylko głupcem, ale obraża Pana Jezusa.“ Ze zgrozą też i politowaniem nad głupotą patrzył zawsze rozumny Maciej na tych kmieci, którzy jak to często się zdarza, pomiatali biedniejszymi od siebie, zamiast otoczyć ich miłością chrześcijańską.

Cholewa ma kilku synów. z których jednego kieruje na doktora i pragnie żeby on gdy zostanie lekarzem osiadł w Sławopolu, miał własnego konia, bryczkę, objeżdżał chorych po wioskach naszej gminy, nie wstydział się zastępować akuszerkę i dobrego felczera, sam szczepił ospę i sprowadzał tanie lekarstwa, które w miejskich aptekach są zbyt drogie. Gospodarze z naszej wioski uprosili młodego Cholewę, aby nauczył się także leczenia dobytku i mógł ratować tym sposobem nieraz całe mienie wieśniaków. Obiecują też sobie wielki z tego pożytek i prawdziwe szczęście, jeżeli będą mieli w gminie takiego doktora, który potrafi być zarazem felcherem i weterynarzem, akuszerką i aptekarzem.

Przechodziliśmy teraz koło ogrodu większego i piękniejszego od innych. Grusze i jabłonie uginały się pod owocem dorodnym, popodpierane rososzkami. Drzewa utrzymane były czysto, a między nimi zieleniło się bujne warzywo, starannie okopane i opielone. Wszystko przedstawiało obraz pilnej i umiejętnej pracy ogrodniczej.

Tutaj—ręce do mnie mój przewodnik—mieszka Walenty Wojsław, gospodarz dobry, ale ogrodnik jeszcze lepszy. Gdy Walek był wyrostkiem, ojciec je-



Zeszli się gospodarze i ich baby i obstąpiwszy dokoła
kopiącego Walka...

i nasiona różnego wawrzywa w najlepszych gatunkach, tanie szczepy owocowe, młode drzewka śliwek i wiśni, agrest i maliny. Tak zaś jest zamięłowanym w ogrodnictwie i dla wszystkich życzliwym po chrześcijańsku, że każdego kupującego nauczy jak ma co posiać, posadzić, doglądać, podlewać i sam nieraz zajdzie do cudzego ogródka zobaczyć jak zrobiono, nagderze za źle wykonaną robotę, niewypielony perz i zielsko, mech i wilki na drzewach.

Wojśław lubi gdy się zbiera u niego młodzież wiejska, którą naucza różnych rzeczy. Każe on nazywać ogród owocowy *Sadem*, warzywny *Ogrodem*, ogródek z kwiatami *Kwietnikiem*, altanę ocienioną *Chłodnikiem*. Powiada, że dom i gumna, czyli całe obejście powinien gospodarz osadzić drzewami w ten sposób, żeby nie wiele cienia na dachy rzucając, przegradzały jednak takowe między sobą. Gdzie bowiem rosną wysokie drzewa, tam piorun uderza w drzewo, nie w budynek, a w razie pożaru, gęste gałęzie tamują przenoszenie się ognia z jednego dachu na drugi. Wojśław zaleca sadzić lipy, bo dają one i miód i chłód i kwiat na lekarstwo, a wreszcie białe drzewo dla snycerza i łyko do przywiązywania. W sadach nakazuje ochraniać gniazdka śpiewającego ptactwa, żeby ono liszki i robactwo szkodliwe drzewu i owocom tępiło. To też u niego na każdej gruszy i jabłoni pozawieszane są małe domki na gniazda dla ptaszków, których znaczna ilość to sprawia, że owców robaczych prawie niemasz w sadzie wojśławowym.

Wojśław wyuczył swoją żonę i córki ogrodnictwa, a gdy sam pójdzie w pole orać lub kosić, dziewczęta

z matką doglądają wszystkiego w ogrodzie niby on sam. Co jesień nazbierają mnóstwo nasion, oczyszczają je starannie, ponasypują w różnej wielkości woreczki, a Walenty waży później te nasiona, zawija w papierki, pisze na nich nazwy i pod wiosnę wyprzedaje, a grosz zebrany składa wszystek w kasie oszczędności na przyszłe wiano dla swoich pracowitych dziewcząt.

Ale nie samym chlebem żyje człowiek—powtarza nieraz Wojsław. Ogrody jedne zakładają się dla pożytku kuchennego, inne dla pięknego widoku.

Podług stawu powinna być i grębla. Gdy możni zakładają sobie całe ogrody i parki dla rozkosznego widoku, kmieć powinien mieć także pod oknami swej chaty grędy przeznaczone dla kwiatów. Wojsławowa pielęgnuje bardzo piękne i pachnące kwiatki przy swym domu, a jej dziewczeczki wiją z nich równianki do swych warkoczy, zrywają je na potężny wian dożynkowy dla przystrojenia kłosów żyta i pszenicy na głowę najdzielniejszej żniwiarki, splatają wianki puszczone z wodą w wieczór świętojański i snopkami wonnego kwiecica zdobią figurę przy rozdrożu.

W tym domu przy którym widzisz Waszec lodowię—prawil dalej towarzyszący mi Ścibor—mieszkają ludzie bardzo przemyślni i pracowici. Ona była ubogą wdową, posiadającą tylko ten mały domek z ogródkiem. Troje sierot wołało nieraz chleba, a tu często i okruszyny zabrakło. Zarabiała igłą, ale że nie miała za co kupić maszyny do szycia, więc życie jej było ciężkiem,

a żaden dzień nie był wolnym od łez, przez które z uczuciem boleści spoglądała na trzy małe dziewczątka, śliczne jako aniołki, ale mizerne z niedostatku.

Bóg jednak sierot swoich nie opuszcza. Pewnego razu gdy biedna Jankowska poszła na zarobek do pobliskiego dworu, poradzili jej dobrzy państwo żeby założyła w swej izdebce mały kramik. Zdawało się kobiecie, że to jest rzecz niemożliwa, że ona tego nie potrafi, ponieważ nie jest żydówką. Lecz państwo wytłumaczyli jej jasno, że aby zajmować się handlem, nie koniecznie potrzeba być żydem, że są także kraje, w których wcale nie ma albo bardzo mało jest żydów, a drobny handel kwitnie tam w ręku chrześcijan, że i w naszym kraju przed wielu laty chrześcijanie mieszkający po miastach utrzymywali wszystkie kramy, a i teraz wiele wdów mogłoby utrzymać swe rodziny z drobnego handlu, zwłaszcza po większych wioskach. Wytłumaczono Jankowskiej, że będąc kobietą roztropną, pracowitą i umiejącą czytać, może dać sobie radę ze sklepikiem, byle tylko w rachunkach nabrała trochę wprawy. Objasniono ją dalej, że każdy towar kupiony do kramu w nieco większej ilości, kosztuje taniej. Kramarz, który potem rozprzedaje go potrosze, bierze cenę wyższą, a ta przewyżka stanowi dla niego zarobek, będący wynagrodzeniem za jego pracę i dochodem od wyłożonych pieniędzy na zakupno towaru, a opłacić powinna kosztu utrzymania sklepiku. Zarobek umiarkowany ze sprzedaży dobrego towaru, jest dochodem uczciwym, należącym się rzetelnie każdemu najpocziwшему chrześcija-

ninowi. Sumienne zaś handlowanie jest zarówno pracą zącą i pożyteczną dla społeczeństwa, jak rolnictwo i inne mozolne rzemiosła.

Jankowska w podobny sposób nakłoniona do tego we dworze, postanowiła spróbować nowego zarobkowania. Zacni państwo razem z księdzem proboszczem i Maciejem Cholewą złożyli się na kilkadziesiąt rubli i pożyczili na początek wdowie, za co ona podług wskázówek nakupiła: mydła i sody do mycia, świec, igieł, szpilek, nici, tasiemek, guzików, nafty, szkielek do lamp, zapalek, soli, cukru, papieru i tym podobnych drobiazgów, bez których prawie żaden dom obejść się nie może. Antoni Jarosz zrobił dużą szafę z przegródkami i szufladkami na to wszystko, Cholewa rozliczył szczegółowo po jakiej cenie powinno się wszystko sprzedawać na funty, łuty lub kwarty i łokcie, żeby sprawiedliwy był zarobek, a gosposie ze Sławopola życzliwie zmówiły się, żeby wszystko co potrzeba kupować u Jankowskiej.

Początek, jak to każdy początek, musiał być trochę trudny. Myliła się nie raz Jankowska w cenach i wadze, ale z dniem każdym nabierała większej wprawy i poznała niebawem, że nie święci garnki lepią, a każda kobieta byle umiała rachować, była porządna i roztropna, może dziś w każdej wiosce utrzymać się z podobnego procederu. Cholewa z Sokolikiem wyliczyli nawet, ile to tysięcy większych wiosek w naszym kraju niema jeszcze podobnych sklepików chrześcijańskich, a miećby powinny koniecznie.

Gdy wszyscy przekonali się o rzetelnej wadze, cenie i gatunku w nowym sklepiu, nikt nie kupował gdzieindziej potrzebnych do domu drobiazgów, tylko u Jankowskiej. W niedługim czasie towar zaczął się wyczerpywać, więc trzeba było wcześniej pomyśleć o zaopatrzeniu się w nowy zapas, żeby niczego nie zabrakło. Nic tak bowiem nie odstręcza kupujących, jak to, gdy często tego lub owego brakuje. Wdowa część pożyczonych pieniędzy oddała, resztę zostawiono jej na dalszy obrót, a Maciej Cholewa widząc jej rzetelność, chętnie oświadczył gotowość pożyczania grosza na kupno większych zapasów i przyrzekł dopóty pożyczać i za nią ręczyć, dopóki nie wyrobi sobie takiego kredytu, że później hurtowni kupcy sami napraszać się będą z towarem, za który dopiero wtedy im płacić będzie, gdy go rozprzeda w swoim kramie i grosz zbierze.

W rok później Jankowska taką już miała wiarę u hurtowych kupców w mieście, że za towar nie potrzebowała naprzód płacić, a kumoszki w Sławopolu powtarzały sobie z cicha nowiny, że kupiła maszynę do szycia, że jej dzieci jadają codzień mięso, i że zamierza kupić drugą krowę. Więc też pewnego czwartku, jako w dniu zdawna na swaty przeznaczonym, gdy Jankowska uczyła pilne dziewczeczki swoje szyć i czytać, ukazał się w progu schludnej izdebki dziewosłęb przybrany w świąteczną kapotę i opasany wełnianym pasem z baranią siwą kapuzą w rękę. Gospodarz ten stateczny przybył z sąsiedniej wioski z zapytaniem i namową, czy-

ninowi. Sumienne zaś handlowanie jest zarówno pracą zacząć i pożyteczną dla społeczeństwa, jak rolnictwo i inne mozolne rzemiosła.

Jankowska w podobny sposób nakłoniona do tego we dworze, postanowiła spróbować nowego zarobkowania. Zacięła państwo razem z księdzem proboszczem i Maciejem Cholewą złożyli się na kilkadziesiąt rubli i pożyczili na początek wdowie, za co ona podług wskazówek zakupiła: mydła i sody do mycia, świec, igieł, szpilek, nici, tasiemek, guzików, nafty, szkielek do lamp, zapalek, soli, cukru, papieru i tym podobnych drobiazgów, bez których prawie żaden dom obejść się nie może. Antoni Jarosz zrobił dużą szafę z przegródkami i szufladkami na to wszystko, Cholewa rozliczył szczegółowo po jakiej cenie powinno się wszystko sprzedawać na funty, luty lub kwarty i łokcie, żeby sprawiedliwy był zarobek, a gosposie ze Sławopola życzliwie zmówiły się, żeby wszystko co potrzeba kupować u Jankowskiej.

Początek, jak to każdy początek, musiał być trochę trudny. Myliła się nie raz Jankowska w cenach i wadze, ale z dniem każdym nabierała większej wprawy i poznała niebawem, że nie święci garnki lepią, a każda kobieta byle umiała rachować, była porządna i roztropna, może dziś w każdej wiosce utrzymać się z podobnego procederu. Cholewa z Sokolikiem wyliczyli nawet, ile to tysięcy większych wiosek w naszym kraju niema jeszcze podobnych sklepików chrześcijańskich, a miećby powinny koniecznie.

Gdy wszyscy przekonali się o rzetelnej wadze, cenie i gatunku w nowym sklepiku, nikt nie kupował gdzieindziej potrzebnych do domu drobiazgów, tylko u Jankowskiej. W niedługim czasie towar zaczął się wyczerpywać, więc trzeba było wcześniej pomyśleć o zaopatrzeniu się w nowy zapas, żeby niczego nie zabrakło. Nie tak bowiem nie odstręcza kupujących, jak to, gdy często tego lub owego brakuje. Wdowa część pożyczonych pieniędzy oddała, resztę zostawiono jej na dalszy obrót, a Maciej Cholewa widząc jej rzetelność, chętnie oświadczył gotowość pożyczania grosza na kupno większych zapasów i przyrzekł dopóty pożyczać i za nią ręczyć, dopóki nie wyrobi sobie takiego kredytu, że później hurtowni kupecy sami napraszać się będą z towarem, za który dopiero wtedy im płacić będzie, gdy go rozprzeda w swoim kramie i grosz zbierze.

W rok później Jankowska taką już miała wiarę u hurtowych kupców w mieście, że za towar nie potrzebowała naprzód płacić, a kumoszki w Sławopolu powtarzały sobie z cicha nowiny, że kupiła maszynę do szycia, że jej dzieci jadają codzień mięso, i że zamierza kupić drugą krowę. Więc też pewnego czwartku, jako w dniu zdawna na swaty przeznaczonym, gdy Jankowska uczyła pilne dziewczeczki swoje szyć i czytać, ukazał się w progu schludnej izdebki dziewczosłęb przybrany w świąteczną kapotę i opasany wełnianym pasem z baranią siwą kapuzą w ręku. Gospodarz ten stateczny przybył z sąsiedniej wioski z zapytaniem i namową, czy-

by Jankowska nie wyszła za owdowiałego niedawno Stanisława Chorążyka, który był rzetelnym, trzeźwym i pracowitym rzeźnikiem, miał trochę grosza i poszukiwał dla swoich dwojga małych dzieci pocziwej macochy, a dla siebie gospodarnej towarzyszki życia.

W miesiąc potem Jankowska była już Chorążykową w Sławopolu. Odtąd w przemyślnej pracy prowadziła żywot swój oboje. Ona zarabia, szyjąc na maszynie i sprzedając co komu potrzeba z szaf kramniczych, których już dwie posiada. Razem ze swojemi dziewczętami wychowuje sieroty mężowskie, a zastępuje im zanie matkę rodzoną i w niczem od własnych córek nie wyróżnia pasierbów.

„Macocha dla nich jestem, powiada, ale kiedy wyszłam za wdowca, to dla jego dzieci przyjąłm na siebie obowiązek matki i matką być muszę, bo tak kazał Bóg i ludzkie wymaga sumienie. Ich matka jest już u Boga i patrzy z tamtego świata na swoje dzieci, a za moje dobre dla nich serce, wyprosi dobrą dolę i dla moich własnych dziewcząt.“ Chorążyk jako prawy chrześcijanin, jest również przykładnym ojczymem i niktby nie poznał w domowym ich pożyciu, że dziewczki Jankowskiej są to jego pasierbice, a nie rodzone córki. To też pocziwa niewiasta ma za to u ludzi dobre imię a przed Bogiem czyste sumienie.

Chorążykowa córki swoje zaprawia do gospodarstwa domowego i uczy doskonale prać, prasować, szyć, robót rozmaitych, a jako sama kobieta pracowita, porządna i czysta, przestrzega na każdym kroku porząd-

ku, ochędóstwa i jednej godziny nie pozwala im próżnować. Powiada ona, że choć posagu dla nich w pieniądzech nie zbierze, ale da im posag większej wartości niż srebro i złoto, bo zaszczerpi cnotę w ich duszach i umiejętną pracę w ich ręku. Chce ona je wy kierować na dobre sługi i gospodynie do dworów wiejskich. Chorażykowa zapowiedziała, że za nic w świecie nie pozwoli, aby poszły na służbę do miasta. Każde miasto bowiem jest gniazdem zepsucia i upadku. Poczciwa lecz młoda i głupia jeszcze dziewczyna wiejska znajduje w mieście bardzo śliską drogę. Jako mucha na lep, tak dziewczyna każda lgnie do zgiełkliwego i wesołego życia w mieście, bo jest tam do kogo co chwila wyszczerzyć zęby, przystroić się, pogapić na co i posłuchać nowej plotki. Prawda, że w mieście płacą sługom większe myto, ale tam wszystko za to droższe, trzeba się ubierać inaczej niż na wsi, na życie i przyodziewek wszystko wydać, a żadna jeszcze sługa oprócz bałamuctwa i gałganów, nie lepszego z miasta do wsi nie przywiozła. Szwaczki, które są uczciwe, cierpią zwykle w Warszawie biedę i często roboty nie mają, bo za wiele młodych dziewcząt garnie się do miasta. Tymczasem po dworach wiejskich o dobre sługi coraz trudniej, a najtrudniej o dobre gospodynie i szafarki, które znałyby się tak biegle jak dawniejsze na urządzaniu wędlin i mleczywa, na obsiewaniu ogrodów i przechowywaniu warzywa, na kuchni, pieczywie ciast, smażeniu owoców, robieniu napojów owocowych, hodowli trzody chlewnej i wszelakiego drobiu.

Chorażyk jest człowiekiem wielce pracowitym i zbieżnym. Jako rzeźnik, zawsze dowie się zawczasu kto ma do sprzedania podpasioną sztukę bydła, wieprza, cielę lub owcę. Kupi, zabije, mięso rozprzeda we wsi na funty, a skórę Protazowi do wyprawy na rzemień. Za domem swoim, od północy, w cieniu drzew zbudował lodownię konieczną podczas lata do przechowywania mięsa i innych zapasów. A i ludziom, gdy dla chorych potrzeba, udzielają Chorażykowie bezpłatnie lodu. Te też wywdzięczając się za to, cała wieś nasza, zebrała na tłokę, przez pół dnia zimowego, nawiozła im lodu pełną lodownię. Stanisław ma i wędlnię, w której urządza dla wszystkich gospodyń wędzonki, a dozoruje także i suszarni do lnu postawionej oddzielnie za wsią, na to, żeby nikt w domu lnu nie suszył, co bywało dawniej powodem częstych pożarów w jesieni. Tak przemysłem swoim zajęci, Chorażykowie pracują uczciwie, zadowalniając się skromnym zarobkiem. Bóg też błogosławi ich zabiegom, a ludzie nawet najbogatsi w gminie, mają dla Chorażyków prawdziwe poważanie.

Pomiędzy domostwami Sławopola, odrazu poznałem zdala szkołę. Miała ona ściany nieco wyższe i okna większe niż inne domy. Nad gankiem umieszczony był duży zegar dla ogólnej sławopolan wygody, na dachu dzwonek do zwoływania dziatwy na naukę. W ganku przybita była skrzynka pocztowa do wrzucania listów, które odnoszono ztąd codziennie na pocztę. Dokoła

domu szkolnego widać było szkółki drzew owocowych z nazwami gatunków na tabliczkach, kwatery z rozmaitem warzywem i kilkanaście rodzajów uli dla pszczół, jako wzory wystawionych. Dalej, każde z dzieci uczących się w tej szkole, miało swój zagon oddzielny, gdzie rosły różne drzewka i krzaczki, warzywo i zioła lekaske, pielęgnowane ręką dziecka, którego nazwisko było wypisane na zatkniętej tablicy, dlatego żeby każdy oglądający te ogródki, zaraz mógł zobaczyć, które z dzieci większą troskliwością i pracą się wyróżnia.

Ścibor opowiadał, że dom szkolny dzieli się na dwie połowy, z których jedna mieści izbę szkolną i mieszkanie nauczyciela, a druga ochronkę i mieszkanie ochraniarki. W sali szkolnej, jedna połowa tejże przeznaczona jest dla chłopców, druga dla dziewcząt. Gdy latem rodzice udają się od rana w pole do pracy, odprowadzają wtedy drobne swe dziatki do ochronki, gdzie pozostają one dzień cały pod dozorem ochraniarki. W zimie duża izba ochrony inne miewa przeznaczenie. Oto w święta i wieczory zbiera się w niej nasza wiejska kapela i wygrywa od ucha dzielne mazury, kujawiaki, krakowiaki i kołomyjki, lub nuty pieśni dawnych, tak że nawet staremu serce raźniej kołatać zaczyna i nogi drgają do tańca, albo myśl ukołysana rzewną melodją w tęsknicę jakąś zapada.

Nauczyciel w naszej szkole, wielkie ma zamiłowanie do swojego zawodu — mówił dalej Ścibor. Jest on pracowitym, cierpliwym i bogobojnym, kochającym dzieci nasz e jak własne, i szanowanym przez nie jak

ojciec. Umie on dużo pożytecznych rzeczy, a z tych jego wiadomości korzysta nie tylko dziatwa wioskowa, ale często i my starsi. Podczas zimy, w chwilach wolnych zgromadza się tutaj prawie cała wioska i zasiada na szkolnych ławkach, a nauczyciel albo Kaźmierz Sokolik czyta w obec zebranych, lub opowiada jakie piękne i ciekawe rzeczy. Podczas ostatniej zimy było takich odczytów w szkole naszej kilkanaście. Wątek niektórych pamiętam i mogę waszeci powtórzyć — rzekł stary:

— Raz mówił nam nauczyciel o piękności prawdy a bezecności plotek. Niema nic obrzydliwszego nad plotkę, a nikczemniejszego nad potwarz — prawil. Słowo wyleci wróblem a powraca wołem. Rana się zgoi, ale złe słowo nigdy. Obmowa uderza z za płotu, bezpieczna bo ukryta, nikczemną jest, bo obmówiony jako nieobecny, obronić się nie może. Przyjacielem prawdziwym jest jeno ten, który mówi prawdę w oczy, bez względu, że przykrą ona być może. Kto przy prawdzie stoi, ten na polu ma wygraną. Nic więcej nie może ozdobić człowieka, jako cnota prawdy. Jej mowa jest prosta, ona górą zawsze lata jako orzeł nad kałużą kłamstwa i nizinami pochlebstwa.

— Drugim razem mówił nauczyciel o poszanowaniu rodziców i wogóle siwego włosa, o ciężkiem sumieniu tych, którzy nie szanują starości i ukarani za to będą przez złe obejście się z nimi własnych dzieci, gdyż „jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.“

Na trzeciem zebraniu wykladał nam o poszanowa-

niu cudzej własności i o szkodnikach. Własność—prawil—to świętość ziemską. Tylko bezduszne żywioły ak: ogień, woda, huragan, nie znają prawa własności, ale już nawet niektóre zwierzęta mają to poczucie, np. ptak broniący własnego gniazda i pies barłogu swego. Tembardziej człowiek winien to święte, naturalne a proste prawo uczcić, uszanować cudzą własność, jeżeli nie chce gorszym być od bydła i bezduszniejszym od dzikich żywiołów. Każdy kto przywłaszcza sobie lub niszczy rzecz cudzą, jest złodziejem. Szkodnik, który umyślnie lub przez niedbalstwo wypasa cudzą łąkę lub zboże, obrywa cudze owoce, obdzięra korę z cudzych drzew, które później uschnąć muszą, jest złodziejem cudzej własności, takim samym jak ten, co kradnie snopy z pola, ziarno ze śpichrza, lub nie odda właścicielowi znalezionych pieniędzy.

— Innym razem nauczyciel przemawiał do rodziców jak postępują niedobrze, gdy przez złe pojmowaną miłość do swych dzieci, pobbłażają im różne zdrożności, nie zważają na ich obyczajność i zlemi rozmowami sami gorszą młodzież, która wyrasta też na niemoralnych ludzi i poniewiera później starszych. Zalecał jak ta młodzież powinna być zawsze wesola, szczerą, rzeżką, ochoczą, a przytem skromną, cnotliwą, potulną i posłuszną względem rodziców, uslužna zawsze dla starszych.

Dalej opowiadał mi stary Piotr Ścibor, że częściej od nauczyciela, miewa w sali szkolnej Kaźmierz Soko-

lik odczyty dla całej gromady sławopolskiej. Jednego razu czytał Sokolik piękne rzeczy o obowiązkach czeladzi i sług względem swoich chlebodawców, czyli gospodarzy, i odwrotnie, o obowiązkach gospodarzy względem sług. Prawił, że wierność i pracowitość jest najpiękniejszą cnotą i obowiązkiem sumienia każdego sługi, że sługa niewierny jest nikczemnym zdrajcą, że chlebodawca musi być dla sług swoich sprawiedliwym i ludzkim, czuwać nad ich moralnością, opiekować się jak ojciec służącymi u niego sierotami, a nie wysyłać wyrostków głodnych do roboty, a źle ubranych i bosych w szarugę i chłodne poranki za bydłem, w skutek czego biedne dzieci przeziębają się nieraz i umierają, a śmierć ich spada na sumienie nieludzkiego chlebodawcy, macochy lub ojczyma.

— Mówił Sokolik, że „taki sługa, nad którym stać trzeba, ni płacy godzien ni chleba.“ I rozweselił wszystkich dowcipnym opisem tego leniwego Grzegorza, którego gdy wołano: „Pójdź robić!“ odpowiadał, że „nie mogę chodzić“—a gdy zawołano: „Pójdź jeść!“—poskoczył rażno, wykrzykując: „Toć muszę poleżeć,“ i robiąc zawsze zziąbł, a jedząc spociał się. U gospodarza grochu jeść nie chciał, ale poszedłszy na swoje, w cudzych grochowinach ziarenek wyszukiwał. Opowiadał Sokolik i o owej słudze Ance, co to wstydziła się swiń doglądać, ale siadłszy do misy, wybierała zawsze pierwszej niż gospodarz, największe skwarki z kaszy.

— Drugim razem przemawiał, że przez pracę doskonalili się cnota w człowieku, że żadna praca ucziwa nie

przynosi nigdy nikomu ujmy, a tylko sromanie się pracy wstyd przynosi, że większą sromotą dla gospodarza jest próżnować, niż iść na zarobek do sąsiada lub dworu. To znowu mówił raz o odzieży, że niech będzie ona uboga, byle chędogą, że nie suknia zdobi człowieka, ale człowiek suknię, że nie dbaj o wielki strój, jeno o pożytek swój, że dziewczyna która się ugania za modą, a wstydzi się latem twarz opalić od słońca i mieć dłoń narobioną, nie będzie nigdy dobrą gospodynią i dobrego męża nie warta.

Najpiękniej mówił Sokolik o cnocie i czystości serca, które są największym skarbem dla człowieka. „Świąta cnota, tyś nie jest ponura i dzika“ — pisał biskup Krasicki. Cnota jest jako ten wonny kwiat wiosny, miła ludziom i Bogu. Ona podnosi człowieka do godności Świętych i aniołów, lub zdeptana, spycha go do ohydnej kałuży. Godłem krasy dziewiczej jest wieniec, który tylko dziewice nosić mogą i warkocz spuszczone na ramiona. Wianki dziewicze splotano z kwiatów polnych, barwinku, rozmarynu lub ruty, wiecznie pod śniegiem zielonej. Dziewica, która postradala swój wianek — prawil Sokolik — nie kładła już go nigdy więcej na swe skronie. Obcinano jej warkocz jak mężatce czynią przy oczepinach, i zawiązywano głowę w biały rąbek, a odtąd wykluczona z grona panien, między biogłowami siadała. Były to jednak wypadki bardzo rzadkie, bo rodzice wychowywali córki w surowej cnotcie, a bracia strzegli od próżnych zalotów i chodzenia na taniec do karczmy, gdzie zwykle bywa początek pierw-

sze go bałamuctwa. Porządna dziewczyna miała do zabawy dom ojców, a nad biedną i sierotą czuwali ludzie jako nad dzieckiem rodzonym. Cnotliwą dziewczę ubierano do ślubu we dworze, kładąc jej koronę na głowę.

— W inne wieczory prawił Sokolik ciekawe rzeczy o gospodarce w różnych krajach, o najlepszych narzędziach do uprawy roli i rozmaitych sposobach jej doprawiania, przysporzenia mierzwy, żywienia dobytku, sadzenia i dochowywania się lasów, ogrzewania mieszkań i oszczędzania paliwa. Mówił o szkodliwości palenia tytoniu, upijania się gorzałką i sposobach utrzymania czystego zdrowia. To znowu: o wartości czasu, którego ani jednej godziny marnować nie godzi się, bo ta już nigdy nie powróci, o niepotrzebnem włóczeniu się po Jarmarkach, o potrzebie oszczędzania zwierzyny w polu i lasach.

Raz przemawiał do wszystkich serdecznie o błogosławionej zgodzie sąsiedzkiej, przestrzegając słowami Świętego Pawła, że „jeżeli jeden drugiego kłóscie i porywacie, patrzcież abyście się wszyscy nie pojedli“. Tu natarł ostro na pieniaczów czyli procesowników, którzy, słuchając pokątnych doradców, marnują fortunę w obyczajnej zawziętości przeciw sobie i dzieciom zamiast ziemi i chleba, zostawiają w spuściźnie skrzynkę papierów procesowych; z kąd też poszło stare przysłowie, że „kto wiele buduje, ma wiórki, a kto się procesuje, ma papierki“. A jednak, gdyby tacy ludzie mieli rozumnych i dobrych doradców w sąsiadach a miłość chrześcijańską w sercu, to pewno daliby się pogodzić. To też zacny

Każmierz Sokolik radził usilnie dla dobra ogólnego, żeby wszystkie spory o granice, szkody, oszczerstwa i t. d. załatwiać nie długą i zgubną drogą procesu, ale domowym szybkim sądem polubownym. Sąd taki powinien być złożony z trzech lub pięciu rzetelnych gospodarzów, z wioski miejscowej lub sąsiedniej, przez obie sporne strony wybranych. Jeżeli zwaśnieni podpiszą, że zgadzają się na taki sąd domowy i wyszczególnią w tym akcie nazwiska trzech lub pięciu gospodarzów, bo liczba nieparzysta potrzebną jest do rozstrzygania większością głosów, a podpiszą się i owi na sędziów wybrani, to wydany przez takich sędziów polubownych wyrok na piśmie, byle nie zawierał w sobie rzeczy przeciwnych przepisom krajowym, posiada taką samą moc prawną i siłę do egzekucyi, jak każdy wyrok najwyższej instancyi po najdłuższym procesie. Byle tylko zapis na sąd polubowny dopełniony był podług form, o których w kancelarii każdego sądu gminnego dowiedzieć się można. „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem będą nazwani synami Bożymi“, mówi Pismo Święte. A słowa te Chrystusa Pana świadczą, jak Bóg zgodę miłuje i jak błogosławi tych ludzi, którzy jej przestrzegają. To też do brzy sąsiedzi, godząc zwaśnionych wyrokiem sprawiedliwym i spełniając w ten sposób święty obowiązek obywatelski dla dobra powszechnego, nabywają przez to wielkiej zasługi przed Bogiem i przed ludźmi.

Ostatni raz podczas ubiegłej zimy, Sokolik czytał o pożytku zbiorowej pomocy sąsiedzkiej, która się zowie *Tłóka*, nazwana tak z dawności, od natłoku pracu-

jących, gdyż wszyscy obowiązani są brać w niej udział. *Tłoka* jest odwiecznym bardzo pięknym zwyczajem naszej społeczności rolniczej. Gdy bowiem przy wszystkich cięższych robotach, wielce jest pożytecznem zjednoczenie rąk wielu ludzi, przeto ojcowie nasi uświęcili to niejako prawem zwyczajowem, od którego nikt uchylać się nie może: iż w razie potrzeby, cała wieś bez wyjątku śpieszy do jednego gospodarza, aby mu wspólnemi siłami zwieźć naprzykład drzewo z lasu na dom, przywieźć kamieni na fundamenty, zaorać pole, dokończyć żniwa lub zwózki zboża, a zwłaszcza gdy np. woły mu padły, konie ukradziono, albo sam zachorował. Pieniędzy za udział w tłóce brać nie wolno, jeno zapraszający na tłókę zastawia poczęstunek dla tłoczników i sam wywzajemni się niejednemu przy nadarzonej okazji. Tym sposobem, każdą robotę, której jeden człowiek pozostawiony własnym siłom, nigdyby w odpowiedniej porze dokonać nie mógł, gromada ludzi zjednoczonych obowiązkiem przysługi sąsiedzkiej, uskutecznia połączonemi siłami w dniu jednym. Tak było w tym roku z Chorążykiem, który nie miałby lodowni napelnionej lodem, gdyby mu gromada w dzień mroźny odrazu nie narąbała i nie zwiózła, lub gdyby musiał za to gotowemi pieniędzmi zapłacić.

Serce radowało się we mnie, słysząc to wszystko, co stary Ścibor opowiadał i widząc na własne oczy, co mi w Sławopolu pokazywał. Obok tej słodkiej radości,

zasepiała mnie tylko czasami myśl smutna, czy jest w naszym kraju więcej podobnych wiosek? Jakże czułbym się szczęśliwym, gdyby każde sioło posiadało tak pracowitych, przemyślnych, poczciwych i zgodnych mieszkańców, taką szkołę, taką gospodę i inne urządzenia. Jakąż miałbym rozkosz przez podobne wioski całe życie moje wędrować i podobnego opowiadania jak Ściborowe, całemi dniami słuchać.

Wszystko jednak posiada swój kres niedaleki, co tylko sercu człowieka miłe i co uśmiechem szczęścia otoczy się chwilowo dla niego. Tak i w Sławopolu, idąc ze starym Ściborem, minęliśmy już ostatnie domostwa pięknej wioski. Dalej szliśmy już tylko wśród ogrodów warzywnych, starannie przez pracowitych ludzi utrzymanych. Nawet na miedzach, wśród pola, przezorna dłoń rolnika powyrywała wszystkie chwasty, żeby nie rozpleniały się po żywej roli.

Za wioską gościniec zwracał się na lewo, a na prawo biegła wązka dróżka ku gęstej zielonej olszynie. Przy tem rozdrożu stała kapliczka Matki Boskiej, a po za nią, na niewielkim pagórku znajdował się plac równy, drzewami dokoła osadzony i drobną murawą zarośnięty. Był on obszerny jak duży kościół i sprawiał nawet wrażenie jakowejś świątyni leśnej. Drzewa wyniosłe były niby jej filarami, a konary tych drzew łukami sklepień; w środku jakby w niebotycznej kopule jaśniał głęboki błękit niebios, na ziemi u podnóża tych drzew starych porobiono dokoła liczne siedzenia z kamieni polnych lub z darniny.

Gdym Ścibora zapytał o przeznaczenie tego pięknego ustronia, objaśnił mnie słowy następujemi:

— Jest to widzisz waszeć, dla sławopolan miejsce ich zebrań w porze letniej, nazywane zwykle *Uroczyskiem*. Zabawy młodzieży i zebrania starszyny nie mogą odbywać się w sadach i ogródkach naszych kmieci, bo tam każda skiba ziemi musi być obsiana, każda roślina otoczona być musi spokojem i opieką. Przeznaczono więc na to ten pagórek leśny przy wiosce, porównano jego wyżynę, porobiono siedzenia z kamieni i darniny. Tutaj sławopolanie zbierają się z sąsiadami na narady czyli na wiecę gminne, tutaj odbywa się często przegląd naszej dziarskiej straży ratunkowej od ognia i jej narzędzi pożarnych, a młodzieńcy przybywają dla ćwiczeń w zręczności, sile i celnem strzelaniu do tarczy. Tutaj zebrani chłopcy i dziewczęta w majowe wieczory witają śpiewami początek każdej wiosny, zbierają się w święta na zabawy, w wieczór świętojański zapalają stos Sobótki czyli Kopalnocki i przy wesołem graniu miejskiej kapeli pływają dokoła ogniska. Tutaj wieś cała po żniwach żegnając lato, wyprawia wspólne okrzęzne. Tutaj w dzień powszedni, gdy wszyscy pracują w polu, dozorczyńni z ochronki, pod której opieką zostawiają rodzice drobne dziatki, przyprowadza wesołutką rzeszę malców, by poigrała swobodnie na tej zielonej murawie, by w cieniu tych drzew, pełną piersią oddychając zdrowem powietrzem tych łąków i gajów, rosła w siły i zdrowie potrzebne do przyszłej pracy i znojów na najmilszym zagonie ojców swoich.

Na tem stary Piotr Ścibor, zwany Zamorczykiem, zakończył swoje opowiadanie podczas mego popasu i milej przechadzki po Sławopolu, a ja powróciwszy do domu, wziąłem się zaraz do opisania wszystkiego com widział i słyszał w tej wiosce, aby dobrym ludziom i pocziwej dziatwie serdeczną odemnie pamiątkę i jako wzór do naśladowania ten opis pozostawić.



T R E Ś Ć.

	<i>Str.</i>
Gospoda w Sławopolu.	3
Podróż Ścibora do Ameryki	5
Bożywoj ocala gospodarkę po ojcu	11
Mądry Kazimierz Sokolik	17
Boruta kowal i straż ogniowa w Sławopolu	23
Jędrzej Waligóra	28
Protazy, Bolesław i Bartłomiej	34
Bracia Drozdowie	36
Jarosz i jego synowie	39
Maciej Cholewa bogacz wiejski	42
Walenty Wojsław ogrodnik	47
Sklep i przemysł obojga Chorażyków	52
Szkola w Sławopolu.	58
Czego nauczyciel i Sokolik nauczali	61
Uroczysko za wioską	66



w Warszawie, Nowy-Swiat Nr. 53 (róg Wareckiej,) i w Lublinie,

posiada na składzie w większych ilościach książki dla ludu
z których poleca:

1. **Snopek**. Książka do czytania dla dzieci wiejskich, z obrazkami. — 30
2. **Podarunek dla młodzieży**, książka do czytania z obrazkami, wydanie trzecie, ułożył W. Olszewski (M. Brzeziński). . . — 40
3. **Stara baśń**, powieść z dawnych czasów — 15
4. **Kuźma leż**, opowiadanie z dawnych czasów, skróciła F. M. — 10
5. **Sprawa o wóz**, czyli historia o jednym wójcie i jego pisarzu przez W. Olszewskiego (M. Brzezińskiego) z obrazkami — 10
6. **O ojcowiznę**, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził — z „Placówki“ B. Prusa skróciła F. M., — z obrazkami — 20
7. **Bandoska**, obrazek z życia, przez W. Olszewskiego . . — 10
8. **Grzesz niepiśmienny**, powiastka p. Michała Bałuckiego, z obrazk. — 10
9. **Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka**, — p. A. Dygasa z obrazkami. — 15
10. **Opowiadanie o urwisie Dyrduśiu** — p. Janka z Bielca (J. K. Gregorowicza). — 10
11. **O rolę**—powiastka przez W. M. Morzkowską — 5
12. **Prawdziwa historyja o Szymku**—napisała Antoszka. . . . — 5
13. **Co robić, aby być zdrowym i długo żyć?** napisał Józef Zielczak. — 10
14. **Co robić, gdy kto zachoruje?** napisał Józef Zielczak. . . . — 5
15. **Nauka rachunków**, dla samouków, napisał S. Różański . . . — 20
16. **Maszyny parowe i koleje żelazne**, napisał W. Olszewski. . . — 10
17. **Bajki, nie bajki**, zebrał M. Brzeziński—z rys. F. Kostrzewskiego — 12
18. **Michalko**, opowiadanie Bolesława Prusa, z obrazkami . . — 7½
19. **Młyn na pokusie**, opowiadanie p. Iskierkę, z obrazkami. — 15
20. **Czarownica**, skrócone z opow. Orzeszkowej „Dziurdziowie—z obrazkami. — 12
21. **Za smyrą**, czyli herszt szwarcowników, p. M. Walińską. — 20
22. **Krasula**, opowiadanie p. M. z Soleckich Błotnicką—z obrazkami — 10
23. **30 morgów**, opowiadanie p. Wicka z Warszawy—z obrazkami — 10
24. **Małgorzatka**, matulina pieszczoszka—p. A. Dygasa—z obrazk. — 15
25. **Ciśloński adwokat**, skróc. z pow. E. Orzeszkowej „Niziny“ — 15

26. Cygańskie dziecko, skróciła R. M. z pow. J. I. Kraszewskie-
go „Chata za wsią” — 12
27. Nasi przyjaciele i wrogowie wśród ptaków, z Wodzieckiego
i Taczanowskiego wybrał M. B. —
28. Jurgis Durnialis, powiastka przez Brolisa — z obrazkami — 10
29. Na służbę Bożą powieść Br. Grabowskiego z obrazkami . . . — 15
30. Duchy czarnego boru czyli kamienne serce — z obrazkami . . . — 15
34. Ratowanie bydłęcia odętego — napisał K. Duleba — 06
35. Tanie a dobre narzędzia rolnicze — napisał dla włóściń K. Du-
łęba — 10
36. Łubin, jego uprawa i pożytek dla gospodarstw włóściańskich —
napisał M. Dobrski — 06
37. Ospa i jej szczepienie — napisał Dr. A. P. — 06
38. O wściekliznie — napisał dla ludu Dr. O. Bujwid. — 06
39. Co to są choroby zaraźliwe i jak się od nich uchronić? napisał
Dr. Ad. Cb. — 06
40. Jeske August. ABC czyli nauka czytania i pisania z licznemi
obrazkami, wzorami kaligraficznymi i rysunkowemi oraz abe-
cadłem ruchomem, cena w opr. — 30
41. Książeczka dla dzieci które już elementarz ukończyły, ułożona
przez Kazimierza Góraleczyka (Wł. Anezyca) dopełniona
przez Jauka z Bielca (J. K. Gregorowicza) opr. — 20
42. Brodziński Kazimierz, Dzieje starego i nowego Testamentu,
2 tomy, z obrazkami — 50
43. Jeske A. Wypisy polskie, zawierające wyjatki ze znakomitych
pisarzy, treści religijnej, historycznej, opisowej, powieścio-
wej i przyrodniczej, zastosowane dla młodocianego wieku.
Str. 200, w oprawie. — 50
44. — Gramatyka języka polskiego. Wydanie piąte w oprawie. — 50
45. — Równianka czyli Zbiór 83 powiastek i opowiadań dla
dzieci. Wydanie trzecie z obrazkiem kolorowym w opraw. — 45
46. — Początki czytania, zawierające: opisy, bajki i zagadki
z obrazkami — 20
47. — Arytmetyczka dla dzieci, zawierająca pierwsze początki
rachunków. Wyd. 3-cie opr.
48. — Geografja, kurs elementarny z 20 rysunkami w opr. . .

Księgarnia posiada na składzie książki do czytania i książki d-
żeństwa wszelkich innych wydań, które wysyła na żądanie za
pocztową.



1893
11